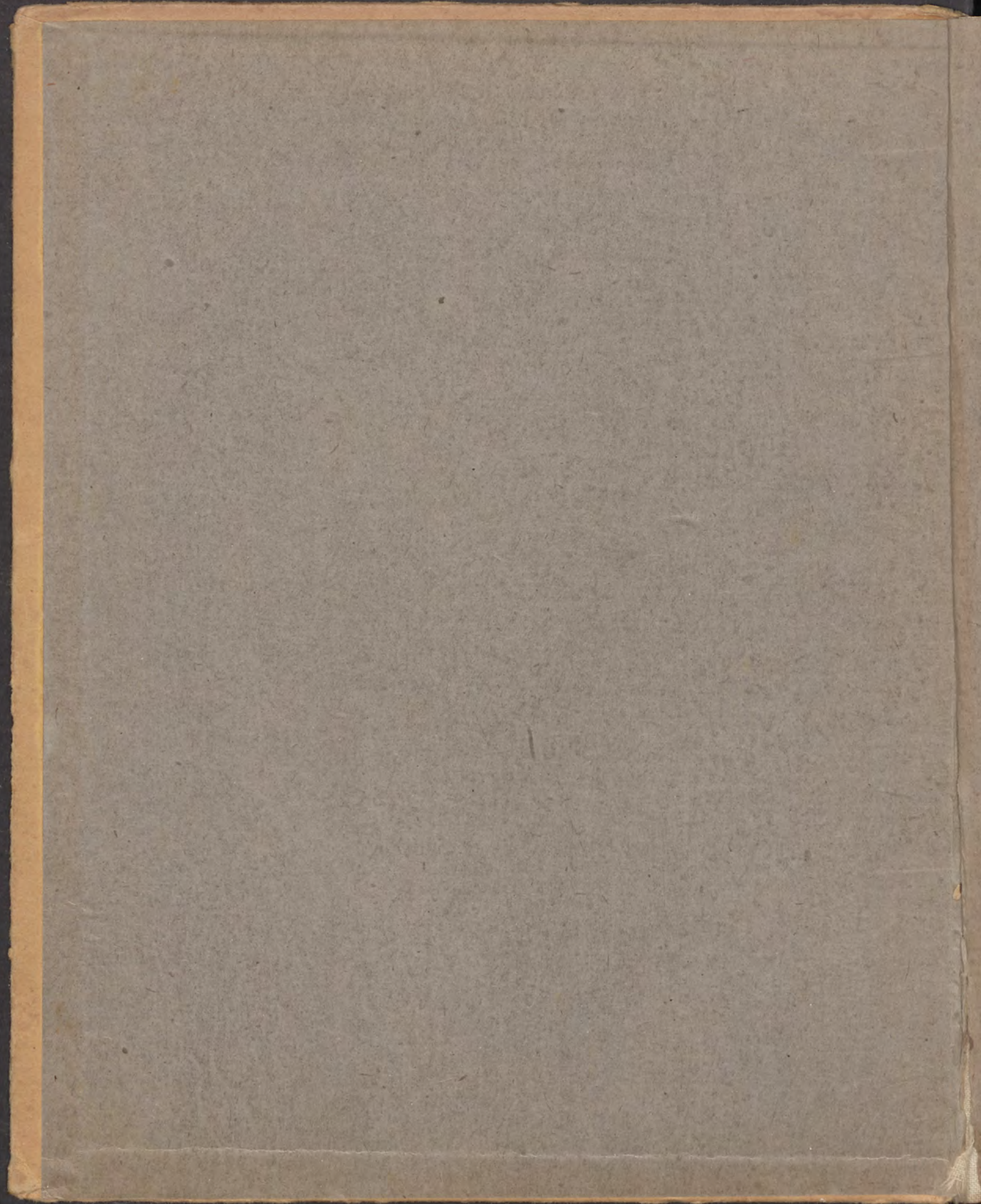


W NIEWOLI U CZAROWNICY



MARYA REUTT



Dla mojej Siostry na pamięć
pierwszego naszego zjazdu od
Włocławka

12/IX 1931.

500 —
100 —
600 —

W NIEWOLI U CZAROWNICY

I INNE CUDOWNE BAŚNIE
RÓŻNYCH LUDÓW.

ZEBRAŁY:

MARYA REUTT,
ANTONINA MORZKOWSKA
i JADWIGA LEWICKA.

LWÓW 1912.

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

W NIEWOL
U CZAROWNICY
JANE CHODWICKI
ROZWIĄTY

W NIEWOL
U CZAROWNICY

DRUKIEM ZYGMUNTA JELENIA W TARNOWIE

W niewoli u czarownicy.

— Dawno to, już dawno, w te czasy, gdy królowie wojowali z smokami, dobre wróżki chodziły po świecie, a czarownice latały na łopatach i miotłach, gdzieś daleko stąd, za siódmą rzeką, za dziesiątą górą, wśród pięknego ogrodu, w którym żyły cudowne ptaki i rosły prześliczne kwiaty, stał wielki gród.

W grodzie tym żył król Przemko Długobrody z żoną swą królową Świętochną. Żyli w pięknym zamku, zarządzili krajem dużym, mieli wszystko, czego dusza zapragnie, bawili się wesoło, ale szczęścia nie mieli. Pusto było w bogatych komnatach, żadnego życia, żadnej radości. Nie było dzieciątka u królestwa tego.

— Ach — mówiła królowa Świętochna — uboższam ja od najbiedniejszej nędzarki, cóż mi po królestwie, co po bogactwach, gdy dzieciątka nie mam żadnego.

Szły tak lata za latami, aż nagle zabrzmiały radośnie dzwony w całym królestwie. Do grodu zwoływano lud. — Królestwo mieli córeczkę.

W złoconej kolebeczce, na łabędzich puchach, wśród koronek i jedwabi, leżała cud-dziecina. Złote włoski wiły się dokoła jej główki, a fijołkowe oczy ciekawie na świat patrzyły.

I szły gromady ludu do królewskiego grodu. Bogaci i ubodzy śpieszyli na święto wielkie.

W jednej tylko lepiance wszyscy w domu zostali. U ubożuchnego drwala, który ani chałupki własnej, ani kawałka ziemi

swej nie miał, a dzieci mu często głodowały, urodziło się Dobkowi i Jagnie piąte dzieciątko. Choć bieda wielka była w izbie, cieszone się nowym gościem bardzo i nikt na gody królewskie nie spieszył.

Nazwano chłopaka Zbyszkciem.

Wykąpała go Jagna w ziele, co moc ma w sobie, ubrała w koszulinę starszego chłopaka i zawinęła w starą chustę.

Ojciec z lipowego łyka upłótl kołysieczkę, a Dobrochna siostrzyczka mała, siadła kołysać, śpiewając przytem braciszкови do snu. Poczem wszysey poszli do roboty — jak codzień.

W królewskim zamku tymczasem szła uczta wspaniała. Uginały się stoły od mięsów i pieczyw wszelakich. W złocistych dzbanach roznosiła służba słodkie miody i wina. Beczki piwa stały po ulicach. Grała muzyka, śpiewano i bawiono się wesoło.

Wtem zaszumiało coś w powietrzu. Patrzy król, królowa, lud cały, a tu lecą siwe sokoły, zaprzężone u kolebki z macicy perłowej.

— Ach! — zawołali wszyscy — to pewno duchy puszczy i gór ślą dary królownie.

U krużganku pałacowego zatrzymały się sokoły i z kolebki wyszła śliczna pani. Na włosach miała zasłonę z mgły porannej zrobioną, spiętą brylantami rosy, szatę całą z tęczowych rąbków uszytą, a przewiazaną srebrnym promykiem księżyca. Nad czołem jej świeciła gwiazda złota. W ręku trzymała zamiast laski gałązkę kwitnącej jabłoni.

— Wróżką jestem — rzekła do witającego ją króla. — Przyszłam zobaczyć królownę i przyszłość jej wam obwieścić.

Wprowadzono wróżkę do bogatej komnaty, gdzie wśród koronek i batystów leżało dzieciątko.

Nad złożoną kolebką pochyliła się cudna pani, popatrzyła na królownę i rzekła:

— Królu i królowo, wysłuchajcie mię i jeśli pragniecie szczęścia dzieciny, którąście Szczęsną nazwali, czyńcie wedle

słów moich. Bogactwa i złożone kolebki szczęścia nie dają, trzeba je zdobyć. Zapracować na skarb ten. Spójrzcie po ziemi swej dokoła. Małoć to roboty do zrobienia? Jestże ład wszędzie? Bawicie się, a nieszczęście stoi za waszym progiem. Odpędzi je tylko praca i ład wielki. Inaczej biada, płakać będziecie i wy i matki i ojcowie innych dzieci. Pomniście, niech dzieciątko wasze wzrasta wśród pracy. Niech ma miłość ludzką!...

Zwróciła się ku drzwiom wróżka.

Król jej drogę zabiegł.

— Nie wyjdiesz stąd — zawołał, — aż jaśniej powiesz, co grozi dziecięciu memu i całej ziemi? Mów!

— Nim trzy dni upłynie, dowiesz się wszystkiego. A pamiętaj królu, że w mocy twej pokonanie złego, — odrzekła, zamieniła się w zlocistą muszkę i frunęła oknem.

Nie do uczt i zabaw było już królestwu i wszystkim gościom. Próżno grała muzyka, próżno śpiew rozlegał się w grodzie. Sposepniał król, posmutniała królowa, goście rozechodzili się do domów.

Każdy lęk miał w sercu.

— Co będzie za trzy dni? — mówiono sobie — co za straszna rzecz tu się stanie?

Tak w niepokoju minęło dwa dni. Na wieżowym zegarze wybiła północ. Nadchodził dzień trzeci... Nagle rozległ się straszny huk, ziemia zatrzęsła się i ściany pałacu zadrżały.

Noc była ciemna i niczego dojrzeć nie można było. Przeżeni ludzie czekać musieli świtu. Skoro dzień nastał, wysłał król sługi zobaczyć, co się stało?

Wrócili niebawem bladzi ze strachu.

— Królu panie — mówili — stała się straszna rzecz, oto tu w pobliżu grodu ponad ziemią naszą, wznosi się wysoka, stroma góra, szczyt jej przewyższa najwyższe sosny i topole, a ściana tak gładka, iż jak po lodowej szybie wniść na skałę niepodobna.

— Skąd się wzięła — nikt nie wie, widocznie nocą wyrzuciła ją ziemia w górę i stąd ten huk straszny, — mówili drudzy.

Wtem nadbiegli inni gońce.

— Biada, biada, wołali, oto skała ta, u szczytu otwór ma, widzieliśmy, jak z otworu tego wyleciał...

— Dym i ogień pewno — przerwał któryś z dworzan.

— Nie, nie — mówił poseł, — wyleciał koń skrzydlaty, a na grzbiecie jego siedziała straszna wiedźma.

— Śniesz chyba Stogniewie — zawołał król — koń skrzydlaty z czarownicą na grzbiecie! Strach ma wielkie oczy, może kurzawa się podniosła w górę, lub stado kruków leciało, a tobie się zdawało...

Ale już przybiegli robotnicy z pól i ze strachem opowiadać zaczęli o przerażającej zjawie.

— Czarownica na swym skrzydlatym koniu jeździła ponad grodem, potem zjechała do otworu góry i zginęła.

I odtąd już tak codzień było. Niedługo król i królowa zobaczyli sami straszną, bezzębną wiedźmę, goniącą powietrzem na swym rumaku.

Zobaczywszy królestwo, rozśmiała się dzikim przeraźliwym głosem.

— Czy pamiętasz — pytał król, — co owa wróżka mówiła?

— Pamiętam — rzekła Świętochna, — mówiła, iż trzeba, by wszyscy pracowali.

— Otóż to — mówił król — trzeba nakazać wszystkim, by nikt nie śmiał próżnować.

I obębniłi dobosze rozkaz króla. Kazano ludowi dwa razy więcej i dłużej pracować.

Pilnowano, by rozkaz króla spełniony był. Jednak nie wszyscy pracowali, ci, co mieli pełne złota skrzynie, dużo sług, wyręczali się nimi. „Przecie ciężkiej pracy nie mamy robić, mówili, od tego są biedacy, płacimy im, niech pracują“.

Nagle nowy rozległ się krzyk, oto u bogatego pana, co włości miał ogromne, zginęła córka. Bawiła się na łące, gdy nadleciała czarownica na swym strasznym koniu i porwała dziewczynkę. Widzieli to wszyscy: rodzina i sługi, ale odebrać dziecka nie można było. Czarownica wzniosła się kędyś w obłoki i zginęła w chmurach. Potem widziano ją, jak z dzieckiem na ręku wjeżdżała do otworu.

Odtąd wciąż ginęły dziewczynki.

Płacz rozległ się po całym kraju.

Ginęły przeważnie dzieci ludzi bogatych. Co robiła z nimi czarownica, nikt nie wiedział. Opowiadano, że nieraz nocą słychać było jęki i płacze dzieci.

Przypuszczano, że pewno wiedźma zjada dzieciątka.

Przelałkł się król o swą córkę. A właśnie już królowna Szczęsna chodzić zaczęła. Jakże ją ukryć przed okiem wiedźmy?

Zwołano najbogatszych panów na radę, wszyscy oni mieli dzieci i wszyscy drżeli co dzień przed czarownicą.

Uradzono, by wszystkie dzieci zabrać do pałacu i dać im strażę. A że czarownica latała powietrzem, więc otoczyć murem wielkim królewskie ogrody i nad nimi dać dach szklany.

W tak zamkniętym ogrodzie miała się bawić i żyć królowna Szczęsna z czterdziestu swymi rówieśniczkami, aż do lat szesnastu. Stwierdzono bowiem, że już szesnastoletnich dziewcząt wiedźma nie porywa.

Mordowali się biedni ludzie, wznosząc mur wysoki, ale już męką prawdziwą było dla nich robienie szklanego dachu.

Spadali z rusztowań, tłukli się i kaleczyli strasznie. To też niechętnie stawali do roboty, złorzecząc wiedźmie, przelatującej co dnia ponad ich głowami. Skrzydlaty rumak zatrzymywał się czasem nad szklanym pałacem, rżał dziko zawieszony w przestrzeni, a straszna baba śmiała się szyderczo. Raz z góry syknęła na robotników ciemną z ogromnej tabakiery. Zaczęli tak kichać, iż od tego kichania popękały szyby w szklanym

dachu, innym razem w rurze, którą miała na głowie jakby jaki hełm, przywiozła czarownica niezliczną ilość żab i wypuściła je na głowy pracujących ludzi.

Uciekali więc robotnicy i choć król się gniewał, choć napędzali dozorcy, robota szła wolno. Lata całe upłynęły, zanim królewna z innymi dziećmi weszła po raz pierwszy do wspańskiego ogrodu.

Ślicznie tu było, stały zielone drzewa, rosły kwiaty, były fontanny, płynął strumień, śpiewały ptaki. Ale było też i dziwnie i nawet nieprzyjemnie, bo nie czuć było nigdy powiewu wiatru, a choć na świecie padał deszcz, to tu ani kropelka nie zleciała. Musieli więc ogrodnicy co dnia zlewać ogród wodą, starannie skrapiać kwiaty i krzewy.

Król jednak cieszył się swym ogrodem i jak tylko ukończono go, kazał urządzić wielki bal, zjechało się ze wszech stron i bawiono dnie i noce całe.

A czarownica jeździła wciąż ponad ogrodem, przyglądała się bawiącym się dzieciom i chichotała.

Królewna Szczęsna sporą już była dziewczynką i ładną bardzo. Miała oczęta jak fiołki na wiośnię, złote włoski w długich warkoczach, liczko białe jak śnieg i różowe jak listek róży, ząbki perłowe i pąsowe usteczka.

Król i królowa kochali ją nad życie i wszystko, czego zapragnęła, robili zaraz.

Pierwsze słowo jakie śliczna dziecina wymówiła, było: „Ja tak chcę“. I powtarzała je potem co chwila.

— Oby tylko szczęśliwą była nasza dziewczeczka — mówili królestwo — a niech wszystko dzieje się, jak ona chce.

I robiła królewna wszystko, co się jej zamarzyło. Ojciec i matka chcieli, by się uczyła, sprowadzali do zamku różnych mądrych ludzi, dawali córce najlepsze nauczycielki.

Ale Szczęsna o nauce myśleć nie chciała. I żaden rozumny

człowiek, żadna nauczycielka wytrzymać z nią nie mogli. Wszyscy uciekali z królewskiego dworu.

I inne dzieci również nie nie robiły, bo Szczęsna im uczyć się i pracować nie pozwalała.

— Bawmy się, bawmy wesoło — wołała Szczęsna, widząc wchodzących nauczycieli i nauczycielki — i zaraz taki się robił gwałt, zamęt, hałas nieopisany, że o nauce ani myśleć.

Bez nauczycielki jednak królewna zostać nie mogła i król z cudzego kraju sprowadził córce ochmistrzynię.

Pani Kunilda rychło zrozumiała, że trzeba królewnie dogadzać, pochlebiać, to będzie i jej dobrze. Odtąd więc o żadnej nauce i pracy mowy nie było. Pani Kunilda wymyślała tylko dzieciom zabawy, a sama najczęściej piła słodkie wino, albo królewnie opowiadała różne rzeczy o swym kraju, lub też szła do cienistej altany i spała na miękkiej i wonnej trawie.

Wszystko ma swój koniec, zabawy znudziły królewnę. Siadywała nieraz całe godziny zamyślona na kamiennej ławce w ogrodzie, odpędzała swe rówieśnice i sama, niewiedząc czemu, płakała.

Poszła kiedyś do ojca i prosiła go, by jej chociaż raz pozwolono wyjść poza mury ogrodu.

— Pozwól tatusiu — mówiła — tylko raz, tylko na parę minut. Tu tak nudno w tych murach.

— Nie, nie córeczko — odrzekł król — nie mogę ci na to pozwolić. Zresztą wierz mi, że tu w tym pięknym ogrodzie o wiele ładniej. Tam słotno i wietrzno, nieraz wieher podnosi kłęby piasku i zasypuje nim oczy ludziom.

Ale Szczęsna prosiła gorąco, w końcu widząc, iż to nie pomaga, skrzywiła buzię w podkówkę, chlipnęła parę razy noskiem i w wielki płacz uderzyła.

Przybiegła na to przerażona królowa i razem z królem dziewczynkę swą uspokajali.

Ale królewna coraz to bardziej krzyczała. Rzuciła się na podłogę, nogami biła, szarpała kobierce i krzyczała co sił.

Zmartwieni rodzice próżno chcieli ją czem zająć i zabawić. Krzyczała wciąż.

— Ja chcę iść za mur, ja tam pójde.

Przybiegła w końcu i pani Kunilda, krzyki królowny zbudziły ją ze snu i nareszcie udało się jej wymyślić taką zabawę, iż królowna uspokoiła się.

Odtąd jednak myślała wciąż o tem, jakby wydostać się za mur. Nie mówiła o tem nikomu, nie prosiła już rodziców o pozwolenie, ale powtarzała sobie wciąż:

— Ja tak chcę i tak być musi.

I dzieciom innym wciąż mówiła, że musi raz wyjść za mur, tam na pole i łąki. Pani Kunilda opowiadała nieraz, że tam bardzo ładnie.

Pewnego dnia, a było to właśnie w same żniwa, upał był nieznośny. W szklanym ogrodzie, gdzie żadnego przewiewu nie było, duszno było okrutnie.

Królowna uparła się jednak w południe iść do sadu. Pani Kunilda zmęczyła się i zasapała odrazu.

Usiadła pod drzewem i w tejże chwili usnęła. Na to tylko czekała królowna, dała znak dzieciom i cichutko, jak myszki, pognały wszystkie do furtki ogrodowej. Stała tam zawsze straż.

Ale królowna pomyślała, że może i strażnik znużony śpi, jak pani Kunilda.

I naprawdę tak było. Strażnik spał, obok niego na piasku leżał ogromny klucz od furtki. Z radości, omal że krzyczeć nie zaczęły dzieci, ale królowna dała im znak, wzięła klucz i za chwilę w szklanym ogrodzie nie było już żadnego dziecka.

— Jak cudnie, jak cudnie — wołała królowna Szczęsna, biegnąc wśród łąków dojrzałego zboża. — Nigdy tego jeszcze nie widziałam.

— I dlaczego zamykano nas w tym szkaradnym szklanym pudle — wołały inne dzieci.

— Pobiegamy trochę po polu — mówiła królowna —

a potem wrócimy tam, zamkniemy furtkę, położymy klucz przy strażniku i tak codzień będziemy uciekali w świat, dobrze?

— O dobrze, dobrze — odpowiedziały dzieci.

Tymczasem przez otwartą furtkę do ogrodu szklanego wpadł wiatr. Dmuchał raz i drugi, aż się strażnik zbudził.

Porwał się, patrzy, furtka otwarta, wyrzał i widzi, jak dzieci gonią polem.

Zdrętwiał z trwogi, toż królewna wyszła z ogrodu. Chwycił za swój róg i zadał z całych sił na trwogę.

Wszyscy spali w zamku królewskim i długa chwila przeszła, zanim ktoś pierwszy się obudził.

W jednej chwili wszystko z zamku wybiegło i dalejże do furtki.

Biegł król bez płaszcza i korony, biegła królowa bosa i nawpół tylko odziana, ministrowie bez peruki, żołnierze bez broni. Wszyscy biegli i krzyczeli co sił.

Wtem zaszumiało coś u góry, czarna plama zasłoniła niebo, załopotały skrzydła ogromnego ptaka.

To czarownica leciała na swym skrzydlatym rumaku. Śmiała się strasznym śmiechem, a koń rżał, biała piana pokrywała mu boki.

Pierwsza matka królowa spostrzegła straszną zjawę i nie-ludzkim głosem krzyknęła:

— Dziecko moje! dziecko ratujcie!

Król dobył ostatka sił i biegł za królewną, a ta nie widząc goniącej wiedźmy, chciała się podroczyć tylko z ojcem i coraz prędzej uciekała.

Nagle skrzydlaty koń spuścił się nad ziemię. Pokrzywione palce wiedźmy porwały królewnę za srebrne warkocze.

Straszny krzyk wydarł się z wszystkich piersi, królowa padła zemdlona.

I opowieść trudno, co za rozpacz zapanowała w królewskim zamku i w całym kraju. Zginęła królewna i poginęły

wszystkie inne dziewczynki, które wraz z nią wybiegły ze szklanego ogrodu. Płacz wielki rozlegał się po kraju.

Zebrał król wojsko swe i poprowadził je na skałę czarownicy. Ale cóż, strzały łamały się tylko. Rozbić skały nie podobna było.

— Nikt tu nie pomoże — mówili najdzielniejsi wojownicy. — Ani orężem, ani ogniem, ani głodem nie zdobędziemy tej przekłętej czarnej warowni.

Kazał król obwieścić po całym królestwie, iż temu, kto wejdzie na szczyt skały i córkę jego, a z nią i inne dziewczyny uwolni, odda królestwo swoje i Szczęsną za żonę.

Westchnął może niejeden, ale i próbować nikt się nie ośmielał.

W końcu zjawił się śmiały rycerz i począł wdzierać się na gładką skałę.

Semko to był młody, najśmielszy i najdzielniejszy rycerz w całym królestwie.

Wszyscy zebrali się patrzeć na jego wyprawę.

— On jeden tylko — mówiono — może to uczynić.

Drapał się jak kot dziki Semko młody. Wtem z otworu skały wysunęła się przeraźliwa głowa czarownicy, spojrzała strasznym wzrokiem na śmiałka i zaśmiała się dziko.

Ze skały padł martwy Semko młody. Orle oczy jego zamknęły się na wieki. Zabiła go wiedźma swym spojrzeniem.

Nikt już więcej nie odważył się wdzierać na stromą skałę.

Smutek i żałoba rozgościły się w pięknym grodzie Przemka Długobrodego i w całej jego krainie. Nikt o zabawie nie myślał, w każdym bogatym domu płakano tylko. Żałowano i królowny Szczęsnej i króla i królowej, która leżała chora i wszystkich rodziców. Wszędzie mówiono tylko o strasznym nieszczęściu.

I do chaty biednego drwala Dobka doszła wieść ta przerażająca.

Rówieśnik królowny, mały Zbyszek, chował się tam

sześcieliwie. Drobny to był i wątły napozór chłopczyzna, ale zuch jakich mało. Jak tylko główkę dźwignął o własnej mocy, i na nóżki stanął, już nikogo o nie nie prosił, lecz sam każdemu do pomocy spieszył.

— Ja sam, ja sam — wołał, gdy które z rodzeństwa chciało go podnieść kiedy lub coś mu zrobić. Ledwo chodzić umiał, a już matce w chałupie pomagał, to kur pilnował, by w szkodę nie weszły, to chrust w lesie zbierał, to znowu podwórko zamiatał.

— Ot, parobek mój kochany — mówił nieraz Dobek — chleba to on chyba nigdy darmo jeść nie będzie, zawsze uczciwą pracą na niego zarobi.

Dobry był przytem Zbyszko, wesóły i miły, a dla każdego uczynny.

Kochali go nietylko ludzie, ale i zwierzęta wszystkie. Dobek był ubogi, nie miał ani konia, ani krówki żadnej. Parę kóz tylko stanowiło cały dobytek rodziny drwała.

— Tatusiu — rzekł raz Zbyszko — pozwólcie mi paść nasze kózki.

— Taki jesteś maleńki, synku — odpowiedział ojciec — ciężko ci będzie iść w pole raniutko z kozami, drapać się po urwistych górach. Jeszcze jaki zwierz dziki napadnie cię kiedy, poczekaj, aż podrośniesz trochę.

Ale Zbyszko czekać nie chciał, skreślił sobie duży bat z konopi, wstał raniutko, gdy wszyscy jeszcze spali, zawołał przyjaciela swego Zagraja, dużego żółtego kundla i pognął kozy na pastwisko. Wypatrzył on już śliczną dolinę wśród gór, nad bystrym strumykiem położoną i tam trzódkę swą zaprowadził.

Ucieszyły się kózki zielonej murawie i dalejże trawkę skubać. Zagraj położył się pod drzewem, wyciągnął się jak długi, jedno oko zmrużył, a drugim wciąż na kozy patrzy, a ogonem wywija i wali jak cepem o ziemię. Dobry pies cieszył się, że Zbyszko ich tu przywiódł.

A chłopak rozgląda się, coby jeszcze zrobić. Płynie z gór

śliczny strumyk, po kamkach spada srebrna woda. Małe rybki pluskają wesoło.

— Ot, wiem, co zrobię — myśli sobie Zbyszko. — Nałapię ryb dla matuli. Wczoraj mówili, że nie mają co włożyć do garnka i ojcu zanieść na obiad. To się ucieszą. — Zrobił prędko wędkę i zapuścił ją do wody.

I cieszyła się Jagna, gdy jej syn w południe do domu wrócił. Trzodka dobrze nakarmiona biegła, dzwoniąc wesoło. Zagraj poszczekiwał z boku, a Zbyszko niósł złowioną rybę.

— Oto, chłopiec, aż miło — mówili sąsiedzi, — takiego syna mieć, to dopiero szczęście, małe to jeszcze, a takie mądre, miłe i pracowite dziecko.

Tak rósł ubogi syn drwała wśród gór, w puszczy głębokiej, z każdym rokiem użyteczniejszym i pracowitszym się stawał.

Miał właśnie dwanaście lat, gdy do puszczy doszła wieść o tym, iż czarownica królownę i tamte dzieci porwała.

I Dobek i Jagna zmartwili się bardzo. Zbyszek zaś uspokoić się wprost nie umiał.

— Dlaczego czarownica dzieci porywa? — myślał sobie — i czyż nikt w całym kraju jej nie zwojuje? Co zrobić, by królownę i wszystkie dzieci z niewoli wybawić?

I całymi dniami i nocami myślał wciąż o tem chłopczyzna.

Chodziło mu wciąż po głowie, jakby też tę czarownicę złapać i królownę odebrać.

— Możeby taki łuk wielki zrobić i strzałę wypuścić. Ranić skrzydlatego konia, a potem babę związać i zmusić, by sama swych więźniów uwolniła, albo może sidła wielkie zrobić, taką sieć na drzewa rzucić. Leci tak koń górą, aż mu się nogi splączą, i bęc, pada baba przez łeb koński na ziemię.

Tak sobie nieraz myślał Zbyszko, łapiąc ryby w górskim potoku, lub pasąc kózki na wygonie. A miał już trzódkę coraz to większą, bo sąsiedzi widząc, jak starannie chodzi koło zwierząt, jak im wyszukuje coraz to lepsze pastwiska, prosili, by ich

kozy pasał wraz ze swymi i Zbyszko się na to zgodził, bo przez to mógł coś zarobić i matce zanieść.

W chałupie był więc coraz większy dostatek. Kózki kochały Zbyszka, znały głos jego i gdy się po wirkach gór i jarach rozbiegły, na głos swego pastuszka zbiegały się wszystkie. Szły do niego, ocierały łebki o jego gunię, lizały mu ręce, a on znał wszystkie i po imieniu je nazywał. Była tam i Brodatka i Czar-nula i Łobuzka i koziołek Skoczek, bo skakał on, skakał po górach i parowach i dużo, dużo innych, a wszystkie znały swe przezwiska, jak tylko którą Zbyszko zawołał, to pędziła do niego, że aż się kurzyło dokoła.

Noce letnie były jasne i ciepłe, więc chłopczyna nie gnał kóz do domu, nocował z nimi wśród jarów. Palił ognisko, by odstraszyć dzikiego zwierza, kózki zbijały się dokoła i układały do snu, a Zbyszko i Zagraj pilnowali na zmianę.

Raz o świtaniu podniósł się Zbyszko, zbudził go chłód ranny, wstrząsnął się, poprawił dogasający ogień.

Wtem patrzy — co to jest? — Od gór wysokich, jakby obłok jaki idzie ku niemu. Przetarł oczy. Może to sen, ale nie, sunie coś białego. Przygląda się Zbyszko i z prawej strony i z lewej, naprawdę, to coś idzie.

— E, mgła to górska — pomyślał w końcu chłopak — przewidziało mi się chyba. Nawet patrzeć nie będę.

Wyjął swą fujarkę z wierzbiny, usiadł na kamieniu i grać zaczął. Po cichym lesie popłynęła piosnka pastusza, budząc ptaki dokoła. Jaki taki też śpiewać lub gwizdać zaczął w gąszczy boru.

Obejrzał się Zbyszko, co też z tą mgłą się dzieje. Patrzy, a tu koło niego stoi jakiś wysoki starzec. Broda siwa, aż do pasa mu sięga, a cały jak gołąb białuśki.

— Ot, to jaki był obłok — pomyślał Zbyszko, — wstał i pokłonił się staruszkowi.

— Widzę, że dobrze trafiłem — rzekł siwy dziaduś — pastuszkciem pewno tych kóz jesteś, przynieśże mi trochę mleka.

— Z całego serca radbym wam dał dziadku — odpowiedział Zbyszko — ale nie moje to kózki, te co mleko dają; na południe muszę zagnać je do sąsiada, darujcie, że cudzej własności nie poruszę.

Staruszek westchnął.

— Straszniem spragniony — rzekł, osuwając się na kamień.

Zbyszko skoczył do strumyka i przyniósł czystej wody.

— Naści dziadku — rzekł, — a tu w koszyku chleb i jagody, to cię orzeźwią — mówił.

Staruszek wypił wodę, zjadł jagody i położył dłoń na głowie chłopca.

— Więc nigdy — rzekł — cudzej własności nie ruszasz, nawet gdy sam głodny jesteś?

— Nigdy — zawołał Zbyszko — mam przecie wodę w strumyku, mam jagody, grzyby i korzonki w lesie, to sobie radzę.

Uśmiechnął się starzec i Zbyszka pochwalił.

Cały dzień spędzili razem, gdy chłopak kozy pogał do wsi, siwy dziadek na miękkim mechu położył się, a Zbyszkowi zalecił, by o nim nikomu nie powiedział.

Wieczorem chłopak zaczął mówić o porwanej królewnie i strasznej czarownicy.

— Mówią — kończył — że wiedźma ta okropna zabiera bogate dzieci, bo są tłuste, silne i zjada je. Pewno więc i naszą królewnę pożarła.

Starzec głową potrząsnął.

— Bajdy to są wierutne — odpowiedział — słyszeliście chyba wszyscy, że na owej wielkiej uczcie, którą król wyprawiał, gdy się królewna urodziła, wróżka powiedziała, że trzeba, by wszyscy w kraju pracowali i starzy i mali i biedni i bogaci, inaczej stanie się wielkie nieszczęście w kraju.

— Prawda, prawda — zawołał Zbyszko — stryjna moja była też wtedy w pałacu i wróżkę tę widziała i to, co mówicie dziadku, opowiadała nieraz.

— Otóż — mówił starzec — wróżkę tę wysłał do króla „Duch ziemi“, gdyby słów jej usłuchano, gdyby na ziemi zaplanował ład i praca, młodą królową nauczono ziemię tę miłować i dla niej pracować, to nie stałoby się nieszczęście. Ale w państwie Przemka Długobrodego pracują tylko ubodzy, a reszta to zgraja próżniaków. „Duch ziemi“ więc postanowił ich ukarać. Wysłał czarownicę, by im dzieci zabierała i wiozła do swego państwa.

— A co się z nimi dzieje? — powiedzcie dziadku.

— O ciężka ich dola tam — rzekł staruszek — żyją jednak, żadnego nie brak.

— A czy kiedy wypuści ich wiedźma z niewoli? — zapytał Zbyszko.

— Słuchaj chłopcze — rzekł dziadek, kładąc mu rękę na ramieniu. — I królowa i wszystkie inne dzieci mogą być uwolnione, ale tylko przez kogoś, kto sam, bez strzał i broni, pójdzie do pałacu wiedźmy i pracą własną wyzwoli ich stamtąd.

— A jakże tam się dostać? — zapytał Zbyszko.

— Radź się własnego serca — odpowiedział starzec, — a musi być ono i mężne i śmiałe i bardzo czyste...

Chciał jeszcze coś pytać chłopak, gdy starzec znikł mu z przed oczu. Zamienił się w biały obłok mgły i rozpląnął wśród puszczy.

Nazajutrz poszedł do rodziców Zbyszko i powiedział im, iż on pójdzie uwolnić królową z niewoli.

— Co? — zawołał ojciec — oszalałeś chyba, toż to najdzielniejsi rycerze nie śmia wojować z czarownicą. Słyszałeś przecie o Semku.

Ale Zbyszko nie obawiał się.

— Rycerze — rzekł — strzałami nie zwojują wiedźmy. Semko w butach piał się po skale, nie biegał on nigdy po wirachach i nie umiał piąć się po górach.

I tak śmiało i spokojnie mówił, że w końcu rodzice pozwo-

lili mu iść królownę wybawić. A Dobrochna, siostra starsza, obiecała wyganiać kozy z Zagrajem na pastwisko, aż on wróci.

W królewskim pałacu tymczasem ciężki był smutek. Płakano wciąż królowny Szczęsnej.

Gdy oznajmiono królowi, że jakiś pastuszek chce iść królownę wybawić z niewoli od czarownicy, zdumiał się Przemko Długobrody i wołać chłopca do siebie kazał.

— Jakto — zapytał — ty miałbyś odwagę?

— Tak — rzekł Zbyszko — pójdę i spróbuję.

— I jeszcze jedna matka płakać będzie straty dziecka — rzekł król — dość już tych łez, nie dam ci iść.

Ale wybiegła królowa Świętochna i prosić zaczęła, by Zbyszko próbował.

— A nuż — rzekła — dziecko to lepiej poradzi sobie od rycerzy.

Zbyszko też prosił i w końcu król się zgodził. O rozmowie z dziadkiem nie mówił chłopak nikomu.

— Jak się uda wszystko, to wtedy opowiem, a tak to jeszcze mię wyśmieją — myślał sobie.

Poszedł więc Zbyszko do skały czarownicy, a za nim zdala szedł król z całym dworem.

Wszyscy byli ciekawi, jak to chłopak sobie poradzi.

Zdjął Zbyszko kierpcie swe z nóg, zrzucił gunię i zaczął pisać się na skałę.

Z zapartym oddechem w piersi śledzili wszyscy jego ruchy. Już był u szczytu. Chwilka jeszcze, a wejdzie na wierzch skały i do otworu zajrzy.

— Wtem ponad szczytem pokazał się skrzydlaty koń, zarżał dziko, uderzył nogą w skałę. Rozległ się huk straszny, posypały się kamienie dokoła.

Zbyszko zginął z oczu wszystkim.

Załamala ręce królowa. Sam król pobiegł do skały. Ale chłopca nigdzie i śladu. Próżno szukano go dzień cały.

Dwa dni zeszło, a o Zbyszku ani słyhać.

I jeszcze większy smutek padł na kraj cały. Dobek i Jagna płakali za synem.

Trzeciego dnia, ku wieczorowi już było, gdy zdyszany strażnik wpadł do króla, wołając, że Zbyszko żyje.

— Gdzie, co? — zawołał król i wybiegł przed zamek.

Blady, wąły chłopczyną, okryty nędzną gunią, siedział na kamiennych schodach. Podniósł się, widząc biegnącego króla, a ten go w ramiona pochwycił.

— Zbyszku, chłopcze miły, bywajże nam, mów, gdzieś był? Czy u czarownicy? — pytał Przemko Długobrody.

Chłopak głową potrząsł.

— Nie — rzekł — nie dostałem się tam, gdym już na szczyt miał wejść, wyskoczył ów skrzydlaty koń. Uderzył kopytem w skałę. Posypały się na mnie piasek i kamienie. Myślałem, że zginę, pod nogami mymi ujrzałem przepaść. Ciemno mi się w oczach zrobiło i już nie wiem, co było dalej...

— Więc wiedźma nie porwała cię weale? — zapytał król.

— Obudziłem się ku wieczorowi, leżałem, a raczej wisiałem głęboko w przepaści, na gałęziach sosen, które tam rosły po bokach skał. Dobre drzewa uratowały mię od śmierci. Podrapałem się jednak strasznie, krew płynęła mi z rąk, z twarzy. Ani rusz podnieść się. Pić mi się chciało okrutnie.

— Jakimże cudem wydostałeś się stamtąd?

— Mój przyjaciel Zagraj mię uratował — rzekł Zbyszko. — On zawsze za mną chodził w pole, znamy się i kochamy bardzo. I on mnie odszukał. Leżałem długo na gałęziach sosny, gdy nagle posłyszałem żalosne wycie. Domyśliłem się, że to Zagraj. Zawołałem na niego, a on mi odpowiedział po swojemu. I powoli, uważnie zsunął się do przepaści. Zaczął mi lizać ręce i twarz. Zrobiło mi się lepiej. E, pomyślałem sobie, dobra nasza, pobity jestem, potłuczony, ale żyję, co tam, jak tu jest Zagraj, to stąd wylezę.

— Zawołałem na psa, by mi przyniósł pić. Powlókł się z powrotem na górę i długo go nie było. Naraz słyszę wraca, bo szczeka. Dzień był już jasny. Widziałem, jak Zagraj zstępował ze skały, biedny pies, ciężko mu było, w zębach niósł dzbanek z wodą. Skąd go wziął, nie wiem? Pewno zabrał komuś na polu. Napilem się wody, potem czepiając się gałęzi i krawędzi skał, wylazłem na świat boży. Teraz już wiem, co się stało. Skała pękła na dwoje, a ja wpadłem do szczeliny. Dobrze to być małym — dodał z uśmiechem.

— I gdzieżeś był przez cały dzień? — zapytał Przemko Długobrody. — Czemuś odrazu nie przyszedł tu.

— Spaliśmy, panie królu — rzekł chłopak — obaj z Zagrajem byliśmy bardzo zmęczeni, położyliśmy się spać. Potem przyszedłem tu.

— No i teraz prosimy obaj z moim przyjacielem o obiad, bo już bardzo głodni jesteśmy i ja i biedny mój piesek, który tam siedzi przy bramie.

Nakarmiono, napojono i chłopca i psa, a wtedy Zbyszko poszedł znowu do królestwa.

— Królownę — mówił — wybawić trzeba, ale widzę, że się do czarownicy nie dostanę inaczej, jak żeby ona mię sama wzięła.

— Jakże to zrobić? — zapytali oboje rodzice.

— Czarownica — mówił chłopak — chwyta tylko dzieci bogato ubrane i takie, co nic nie robią. Otóż dacie mi pani królowo sukienkę królowny, ubiorę się w nią i pójdę na łąkę zrywać kwiatki. Czarownica mię zobaczy. Porwie i zanieśie do swego państwa; tam odnajdę królownę, a potem oswobodzę ją.

— Jakto — zawołał król — ty jeszcze chcesz tam iść? mało jeszcze zniosłeś bólu i strachu?

Ale Zbyszko roześmiał się.

— E! — rzekł — ból to nie taki znów wielki... parę sińców, wielka rzecz, a strachu, to tam nie dużo było, bo jak mnie zamroczyło, to nic nie wiedziałem co się dzieje.

Królowa chwyciła Zbyszka w objęcia i ucałowała go serdecznie.

— Może i dobra myśl — rzekł król po chwili, — jeśli się nie boisz, to ja przystać muszę, inaczej bowiem nigdy swej córki nie odzyskamy. Wpierw jednak trzeba, żebyś wypoczął i wygoił swoje sińce. Tak wynędzniałego nie weźmie cię wiedźma.

Wykapano więc Zbyszka, wysmarowano różnemi maściami i przez trzy dni leżał w wygodnem łóżku. A karmiono go przez te dni co dwie godziny. Sam król wymyślał dla niego najsmaczniejsze potrawy, największe przysmaki.

Królowa siadywała przy nim, opowiadając różne rzeczy o swej córeczce. Mówiła, że takich ślicznych niebieskich oczu i złotych włosów żadna dziewczynka w całym królestwie niema.

— Po oczach tych ślicznych i złocistych kędziorach, poznasz ją Zbyszku drogi — mówiła, płacząc biedna matka. — Powiesz jej, jak bardzo cierpimy tu bez niej, jaki straszny smutek panuje w całym królestwie.

Prócz króla i królowej, nikt nie wiedział, iż Zbyszko jeszcze myśli o uwolnieniu królewny i tamtych porwanych dzieci, wszystkie bowiem matki zbiegłyby się do zamku, bo każda chciałaby coś posłać swemu dziecku. I mogłaby i czarownica coś zasłyszeć.

Zagraj był dotąd wciąż przy swoim panu. Poczciwy pies jakoś bardzo nie mógł pojąć tej zmiany.

— Co się stało, dlaczego Zbyszko nie idzie w pole, nie wygania kóz? — Dobrze mu tu było leżeć na miękkim kobiercu przy łóżku Zbyszka, zjadać doskonałe śniadania, obiady i kolacye, ale mimo to tęsknił do lasu i łąki, do swej codziennej pracy. Wypełniły mu się boki, sierść codzień czesana lśniła jak jedwab, trapiła go mimo to bezczynność. Stawał często przy łóżku swego pana, ziewał, piszczał, lub szczekał, wołając po swojemu.

— Pójdźmy do siebie, do pracy, w las, na łąkę... Dość tego próżniactwa...

Czwartego dnia i Zbyszko powiedział, że już dłużej leżeć nie będzie.

Ubrano go więc w śliczną jedwabną różową sukienkę królewny, obuto w pończoszki i pantofelki różowe. Włoski utrefiono i związano również różową wstążeczką. Słowem zrobiono z niego śliczną dziewczynkę.

Zagraj patrzył zdumiony na tę całą maskaradę. Wybiegł w końcu i przyniósł Zbyszkowi kij sękaty, z którym zawsze po górach chodził.

— Nie, nie piesku kochany — rzekł Zbyszko — już teraz z tym kijem nie pójdę. Może kiedyś później. Ale ty idź do chaty, do kóz... Idź...

I objął psa za głowę i pocałował jego mądry łeb. A Zagraj zrozumiał chłopca, podchylił ogon, wybiegł z królewskiego zamku i poszedł het do lasu, gdzie stała uboga chałupa Dobka.

Królowa nadeszła, przyniosła różne łakocie i naładowała nimi kieszenie Zbyszka.

— Szczęsna lubiła to bardzo — mówiła — powiesz jej, że to matka przyszyła.

— Dobrze, dobrze, wszystko powiem, a wy pani królowo, pamiętajcie schować moje spodnie i gunię — mówił Zbyszko — bo jak wrócę, to w co bym się ubrał. A i kapelusz mój schowajcie, bo by się matka gniewała, gdybym go zgubił.

Wyszła śliczna, różowa dziewczynka z królewskiego ogrodu, po łąkach biega, goni motyle i zbiera kwiaty.

Nazbierała pęk wielki, już więcej unieść nie może, zmęczyła się, usiadła na miękkiej murawie i wieniec pleść poczęła.

Wtem zaszumiało coś u góry, ciemny cień padł na ziemię. Serce dziewczynki bić mocniej zaczęło. Nie ruszyła się jednak z miejsca.

— Hu, hu — odezwał się jakiś skrzeczący głos za plecami dziecka, — cóż to panna porabia?

Spojrzał Zbyszko, bo on to był przebrany za dziewczynkę i poraz pierwszy strach go wziął. Okropna baba spuściła się na ziemię, zsiadła z konia tuż koło niego i dybie wprost.

Nie pokazał jednak strachu po sobie.

— Wieniec plotę — rzekł uprzejmie.

— Widzę, widzę, — mówiła czarownica — i nie boisz się mnie?

— Wcale nie, — odpowiedział, — przecie mnie pani nie zje.

— A może, a może, — rozśmiała się wiedźma, — połknę cię różowy skrzeku, pewnie ci mówiono, że dzieci zjadam.

I otworzyła czarną, bezzębną paszczę, a potem chichotać się zaczęła.

Aż zimno zrobiło się chłopakowi, ale przypomniał sobie, co mówił ów dziadek „*Trzeba mieć serce odważne*“ i śmiało spojrzał na babę.

— Tak — rzekł — mówiono, ale ja temu nie wierzę.

— No, a dasz mi te kwiatki? — spytała wiedźma.

Zbyszko podszedł i całą swą wiązaną podał czarownicy.

Odetchnęła zapachem kwiecia parę razy.

— Pachnie — rzekła — pierwszy to raz dano mi dobrowolnie kwiaty. A chcesz przejechać się na moim rumaku.

— Czemu nie, — zaśmiał się Zbyszko, — musi to być przyjemnie, tak lecieć, jak ptak powietrzem.

— A więc pójdź, — rzekła czarownica i zanim się obejrzał kościaste ręce chwyciły go tak silnie w pól, że aż krzyknął z bólu.

Za chwilę siedział wraz z czarownicą na siodle skrzydłatego rumaka.

— No, moja ty różowa figo — mówiła wiedźma do Zbyszka — bo już cię tak nazywać będę, naprawdę nie wierzysz w to, że ja dzieci zjadam i nie obawiasz się mnie?

— Myślę, — rzekł chłopak, — iż pani może lepiej smakować pieczony jarząbek, tłusty indyk, niż taka chudzina jak ja. Albo jakie inne dziecko. Zato my możemy nie jedno zrobić, pracować, służyć pani.

— Patrzcie-no, — chichotała baba, — jaka ta Figa mądra, wcale dobrze mówi. Jeszcze ani jedno dziecko tak do mnie nie przemówiło. Ale już jesteście w domu.

Zeskoczyła wiedźma i jedną ręką zsadzała Zbyszka, a drugą trzymała uzdę konia.

Zbyszko rozejrzał się dokoła. Stali na płaskim dachu zakłętę zameczyska wewnątrz góry. Kraj był ciekawy. Dokoła łąki i pola orne. U stóp zamku stały różne maszyny nie znane mu wcale.

Opodal wznosiła się dziwna budowa, coś jakby klatka olbrzymia, zamiast ścian, miała tylko żelazne kraty.

Była to stajnia latającego konia.

— No, — rzekła czarownica po chwili, — jeśli jesteś naprawdę tak zręczną i pracowitą, jak mówisz, to zaprowadź mego rumaka do stajni.

Koń nie bardzo podobny był do zwykłych koni. Zbyszko jednak podszedł do niego śmiało i ujął za uzdę. Ale straszliwe rżenie rozległo się w powietrzu, koń parsknął i obrzucił chłopca pianą, potem wspiął się na tylnich łapach i zaczął biegać w kółko.

— Koś, kosiu, ciesiu, cieś, ciesieńku, — cieniutkim głosem wołał chłopczyna. — Chodź kosiu.

Koń stawał, patrzył na dziewczynkę, proszącą go tak grzecznie, poczem fikał nogami; ruszał głową i Zbyszko musiał umykać daleko, by go na miejscu uderzeniem kopyta nie zabił.

Biegali tak w kółko po dachu, chłopiec aż się spocił i zadyszał, a poradzić nie mógł.

— Ha, ha, ha, — śmiała się czarownica, — co za śmieszna Figa. Słuchaj, a powiem ci ważną rzecz. Koń w jednej chwili stanie się posłusznym, gdy go kto nazwie po imieniu. Ale jakie imię, tego ci nie powiem. I nikt prócz mnie i czarownika, który mi tego konia dał, nie zna go. Ponieważ jednak odważną jesteś dziewczyną, nie płaczesz i nie krzyczysz ze strachu, to pozwolę

ci karmić i doglądać codzień mojego rumaka. Biada ci jednak jeśli go kiedy odwiążesz i wypuścisz bezemnie ze stajni. Uciecze on wtedy i wróci na księżyc, bo mi go stamtąd przyjaciel mój przysłał. No, chodźmy do stajni.

Podeszła do konia i pochyliwszy się nad nim, szepnęła mu coś do ucha. Posłuszny, jak baranek, poszedł za nią do żłobu.

Czarownica kazała Fidze, tak nazywała Zbyszka, dać koniowi siana, nasypać mu owsa, wytrzeć i wyczyścić go z potu i kurzu. Uporządkował potem chłopak stajnię ku wielkiemu zadowoleniu baby.

— Oj, żeby tylko wiedzieć imię konia, uwolniłbym moją królowną i tyleby nas jejmość tu widziała, — myślał pastuszek.

— No, — rzekła wiedźma, gdy Zbyszko nakarmił konia, uprzątnął stajnię i oczyścił zgrzebłą, — pójdźże teraz za mną.

W rogu dachu podniosła zamykane żelazne drzwi i wzięwszy chłopca za rękę, spuściła się z nim po krętych schodach do środka zameczyska.

Długo schodzili w dół, a Zbyszko na zakrętach, przez otwarte drzwi, widział ciemne kurytarze i olbrzymie izby, zakurzone, nieporządne, prawdziwe komnaty wiedźmy.

U końca schodów były drugie żelazne drzwi, pchnęła je czarownica i niespodziewany widok uderzył oczy pastuszka.

Byli na prawdziwej wsi. Ogrody warzywne, całe łąny kartofli, wiejskie studnie, młocarnie; łąka, chlewy dla drobiu i trzody wszystko tu było. Pełno też kręciło się tu dziewczynek, a wszystkie pracowały ciężko.

Jedne obracały ciężkie żarna, inne ciągnęły młocarnię, tamte rzucały snopy zboża. Te znowu kopały ziemię lub pały bydło i prosięta. Wszystkie były smutne i pracę swą wykonywały niezręcznie. Malutka, czteroletnia dziewczynka, taka ot tycia maleńka, pilnowała gęsi. Straszna to była praca dla niej, bo byle się ruszyła, złe ptaki wyciągały szyje, stroszyły skrzydła i syczały przeraźliwie. Biedactwo nie wiedziało, jak sobie

poradzić, sukienkę swą podnosiła i odsłaniając bosc nóżki, biegła w kółko z płaczem, a gęsi z wrzaskiem ją opadały.

Zbyszkowi serce zabolało na widok łez dziecka, ale zła wiedźma rzuciła się na nie, ze złością i dalejże bić je po twarzy i głowie.

— Głupia, bezmyślna dziewczyno, do niczego nie zdasz się nigdy, — wołała, sycząc jak gąsiór. — Nie umiesz pracować, to i podwieczorku niema dla ciebie. Głodną bądź!

Mówiąc to, weszła do domu i wyniosła cały wór sucharów. Gwizdnęła i w jednej chwili stanęła wszystka robota. Dziewczęta zbiły się w jedną gromadę, a ona brała po kawałku czarnego chleba i dawała go każdej.

Czarny był, suchy, mimo to Zbyszko zauważył, iż robotnice gryzły go z apetytem, popijając przytem czystą wodą ze studni.

Mała gęsiarka usiadła w kąci, płacząc rzewnie. Cały dzień nie jadła.

Zbyszko przypomniał sobie, że ma w kieszeni pierniki i ciastka, te które królowa mu dała dla swej córki. Podeszedł więc prędko do płaczącej dziewczynki i wsunął jej do ręki pierniczek.

— Cicho bądź — szepnął — zjesz to, gdy pani sobie pójdzie.

Ale wiedźma już zobaczyła przysmaczek w ręku dziecka i skoczyła ku niemu.

— Ha, — zawołała wyrywając pierniczek, — przysmaki tu myślisz zajadać, nie z tego, mam dobry wzrok. Pójdiesz do lochu ty szkaradna płakso. A ty, — dodała znowu, zwracając się do Zbyszka, — jeśli jeszcze raz ośmielisz się zrobić coś podobnego, to zobaczysz, co cię spotka. Wybaczam ci dziś tylko jedynie dlatego, że jesteś śmiała i zręczna, jak żadna z tych moich próżniaczek. Ale innym razem źle i z tobą będzie.

No, teraz do roboty, próżniaki, a my pójdźmy stąd. Po-

każę ci jeszcze inne robotnice, a tę płaksę po drodze wsadzę do lochu.

Porwała dziewczynkę pod pachę, zdusiła ją tak silnie, że już i płakać nie mogła i poszli znowu w dół po innych schodach.

Zbyszek drżał cały z oburzenia. — Ach szkaradna, wstrętne czarownica!

Po wąskich krętych schodach weszli nakoniec do ciemnego, wilgotnego lochu.

Tak tu było ciemno, tylko mała lampka paliła się u sklepienia, że narazie dzielny chłopak nie zobaczyć nie mógł. Dopiero po chwili spostrzegł duży stół, a dokoła niego, pełno siedzących dzieci. Na stole stały wspaniałe torty, kremy, różne mięsiva, doskonałe napoje, owoce, wszystko tu było. Ale Zbyszko ze zdziwieniem zobaczył, iż dzieci tego nie jedzą.

Każde na swym talerzyku miało rzepe pieczoną, kość do ogryzienia, trochę mleka z wodą.

— Cóż to państwo za grymasy robicie — zawołała wiedźma, wehodząc. — Dotąd przy obiedzie?

— Widzisz — rzekła, pokazując Zbyszkowi gromadę dzieci. — To są próżniaki i łakomce. Jadłoby to tylko torty, kremy, jarzabki. Teraz wolno im patrzeć na te przysmaki, a jeść rzepe, gryźć kości. No, macie tu jedną pannę, co to lubi łakocie.

Posadziła małą pastuszkę gęsi na ławie.

— Masz tu kość, ogryź sobie, a spieszże się z tym jedzeniem, bo czasu szkoda. A ty Figo, chodź, pokażę ci jeszcze pyszne i zuchwałe dzieci.

Już ledwo włókł się Zbyszko po schodach za czarownicą. Żał mu było tych wszystkich dzieci, które tu widział i strach go ogarnął. Co on pocznie, jak tu sobie poradzi?

Wiedźma widziała, że Figa, jak Zbyszka nazywała, straciła już swą wesołość i humor.

— A co, — myślała — już i ta bać się mnie zaczyna. I cieszyło ją to. Żli lubią, gdy się ich wszysej boją.

Wrócili na górę i weszli do ogrodu warzywnego. Wśród grządek kwiatów zarośniętych chwastami, siedziała blada, wychudła dziewczynka.

Nie nie robiła. Oparła główkę na rękę i siedziała smutna. Jasne włosy jej związane były złotą przepaską, a ubrana była w niebieską, jedwabną, podartą i brudną sukienkę.

Zbyszkowi serce zabiło, królowa przecie mówiła, że Szczęsna miała niebieską sukienkę i złotą przepaskę na głowie.

Odnalazł królową.

— Jakto — krzyknęła wiedźma — dotąd nie nie zrobiłaś! Nie mówiłam ci obrzydły leniuchu, iż masz wypleć ten zagon.

— Nie umiem pleć — odpowiedziała dziewczynka, — królewską córką jestem, w pałacu mego ojca takiej roboty nie robiłam.

— A ja ci pokażę jasna królowno — zaśmiała się wiedźma, — że będziesz pleła.

— Cóż ty umiesz robić próżniaku jakiś. Igły do rąk nie weźmiesz, nawlec jej nawet nie potrafisz. Nie nie zrobisz, nie nie umiesz i pleć nie chcesz, ciężkiej roboty robić nie będziesz, zobaczymy?

I mówiąc te słowa złapała królową za złote włosy. Rzuciła ją na ziemię i włócząc po zagonie, wołała:

— Nie chcesz rączek brudzić, to koralowymi usteczkami, białymi ząbkami gryź trawkę królowno jasna.

Zbyszko przypadł do wiedźmy.

— Łaski, łaski — wołał. — Zlitujcie się, puście tę dziewczynkę, już ja ją nauczę pracować. Do wieczora ani jednej trawki na tym zagonie nie będzie. Zobaczycie. Wszystką wypielemy.

— No, dobrze — rzekła czarownica, — zgadzam się, ale jeśli całego zagona nieoczyścicie, to zębami waszymi wyrwę te chwasty, a potem na noc zamknę was z prosiętami.

Powiedziawszy te słowa, poszła sobie, a Zbyszko pobiegł do studni, zaczerpnął wody i obmył twarzą królową.

— Ach — mówiła, płacząc, Szczęsna — i pociś ty mnie bronila, niechby już raz wiedźma mnie zabiła. Ja pleć nie będę.

— Królowno Szczęsno! — zawołał Zbyszek, — nie płaczcie, lepiej posłuchajcie, weźmiemy się do roboty, to się to prędziutko zrobi. No, no rwiecie tę trawę, bo może wiedźma gdzie siedzi w ukryciu, jak zobaczy, że nic nie robicie, wpadnie na was i znowu bić będzie.

— Nie umiem pleć, nie chcę robić tej roboty — płakała Szczęsna — królowny chwastów nie wyrrywają. To wstyd.

— Ej-że — zaśmiał się Zbyszko — wstydu tu już niema żadnego, gorszy będzie, jak nas czarownica zbije i z wieprzami zamknie. Posłuchajcie mnie, rwiecie tę miękką trawkę, a ja wezmę się do chwastów.

I tak namawiał, aż królowna naprawdę skubać trawkę zaczęła.

Wtedy chłopak wziął sierp, przysunął się do niej cichutko i powiedział, kto on jest i po co tu przyszedł.

Rozpłakała się królowna, gdy jej Zbyszko powiedział, że był w pałacu i widział jej rodziców.

— Nigdy już, nigdy — mówiła dziewczynka — nie zobaczę ani matuchny, ani ojczulka, żadna siła mnie stąd nie uwolni. Pewno, którego dnia wiedźma zabije mnie.

Ale Zbyszko zaśmiał się.

— Nie poradzi już tu ona nic, przyszedłem, by was i wszystkie dzieci stąd wyprowadzić. Już to jakoś będzie. Tylko trzeba mnie słuchać, a wszystko dobrze się skończy.

Dał jej przysmaki, które matka przysłała. Ucieszyła się dziewczyna, a pastuszek tak mówił:

— Pracy wstydzic się nie trzeba, bo każdy powinien pracować. Toż i wy, królowno, musicie się tego nauczyć. Będę wam dopomagał i uczył, zobaczycie, że to nie trudnego. A potem pomysłimy, jak stąd uciec.

Szczęsna nie bardzo wierzyła, by takie małe dziecko,

mniejsze od niej; mogło ją z niewoli czarownicy wyswobodzić, ale uspokoiła się trochę i coraz żwawiej pleła.

Gdy wiedźma wieczorem do ogrodu zajrzała, zagon kwiecica już był oczyszczony.

— No — rzekła — naprawdę Figo, porządna z ciebie robotnica i może tego królewskiego leniucha nauczysz pracować.

— Jutro pójdziecie kopać w moim sadzie.

Ciężką pracę miał teraz Zbyszko. Pracował za dwóch, bo czarownica chociaż zdziwiona jego wytrwałością i pracą, nie oszczędzała go jednak. Wszystko co najcięższe spadało na „Figę”. A i dobrowolnie brał chłopak dużo, bo skoro widział, że jakieś dziecko nie może sobie poradzić z czem, zaraz prosił wiedźmę, by mu pozwoliła pomóc i nauczyć nieumiejętne stworzenie.

A nie łatwa to rzecz, gdy się uczy kogoś leniwego na przykład, albo bardzo upartego. A takich robotnic było właśnie najwięcej u czarownicy. Bo ona zabierała przeważnie dzieci leniwe, pieszczochy różne. A z takimi najtrudniej. Były tam dziewczynki znacznie starsze od Zbyszka, gdyż — jak wiemy — czarownica od lat wielu łapała dzieci.

Zwrócił się do nich Zbyszek z zapytaniem, czy też nigdy nie myślały, jakby od wiedźmy uciec, lub z tej niewoli oswobodzić się? Wzdychały tylko biedaczki i dziwiły się, że ich o to pyta.

— Poutieramy już tu wszystkie — mówiły ze łzami, — bo któż z takiej niewoli wydobyłby się. Skrzydeł przecie nie mamy.

I szły dzień w dzień do pracy, którą im wiedźma dawała, rade, że choć ich nie bije i nie morzy głodem. Już o nic więcej nie dbały.

— Ot bieda, bieda — mówił sobie Zbyszko, — jakże im dać wolność, gdy one już do więzienia przyzwyczały się. Ani chęci to żadnej nie ma, ani woli, by stąd pójść.

A już największy kłopot był ze Szczęsną. Rozpieszczona królewna pamiętała dobrze nauki pani Kunildy.

— Królowną jestem — mówiła, gdy Zbyszko zachęcał ją do pracy — ojciec mój ma zamki i włości, sługi liczne, a ja tu mam ręce białe urabiać w ciężkiej pracy, jak prosta dziewczka ze wsi. Niech mię lepiej zabije wiedźma, ale jej słuchać nie będę.

I padała na ziemię, krzyczała, płakała, jak kiedyś w szklanym ogrodzie.

Czarownica, słysząc te krzyki, przybiegała i gdyby nie Zbyszko, to pewnie zabiłaby niemądrą dziewczynę, ale chłopak zawsze ją udobruchał.

Zła baba lubiła Figę za jej wesołość i za wielką pracowitość.

— Gdyby mieć kilka takich służek — myślała, — to co- bym to za bogactwa mieć mogła.

Powoli jednak serdeczność i dobroć pastuszka zrobiły swoje. Szczęsna pozbywała się swego lenistwa, zaczęła pracować, nie krzyczała już tak i nie narzekała jak dawniej.

I wiedźma stała się dla niej lepszą. Już nie kazała jej nocować z prosiętami w chlewniku lub z drobiem, jak to było przed przybyciem Figi, lecz przeniosła ją do izby dziewcząt. Spała tam królowna na twardym sienniku, bez łóżka, na podłodze, ale izba była czysta i przewiewna. I pożywienie miała lepsze, a choć bez przysmaków, proste jadło było jednak zdrowe i twarzyczka Szczęsnej zaokrągliła się, bledziutka buzia była różową po dawnemu.

Zbyszko sypiał na sianie w stajni konia, miał tam swój kącik i cieszył się nim. Lubił on zwierzęta, więc i o skrzydlatego konia dbał bardzo. A przytem myślał wciąż o ucieczce. Jeśli wszystkich dzieci nie uwolni naraz, to gdy stąd wyprowadzi królownę, odda ją ojcu, król wtedy da mu wojsko, on tu wróci, babę zwiąże a dziewczyny będą wolne.

— Ale inaczej — myślał sobie Zbyszko, — nie poradzę, jak tylko na koniu. Ten skrzydlaty rumak wyniesie nas stąd z królowną, a potem wrócę na nim z żołnierzami.

Tak sobie wszystko układał chłopak i coraz bardziej dbał o wierzchowca wiedźmy. Owies, siano i wodę zawsze obficie mu dawał, a karmiąc, lub pojąc konia, przemawiał do niego serdecznie i pieśczośliwie. Stajnia codziennie wyczyszczoną była, koń sam wymyty, wyczesany jak nigdy. Piękny rumak zdawał się też lubić chłopca, rżał nieraz, gdy ten wchodził do stajni, wyciągał głowę do niego, ale zaraz potem stawał dęba, błyskał zębami, lub wyrzucał kopytami, tak, że biedny Zbyszko, już sam nie wiedział, jak się do niego zbliżyć. Nieraz też kopał go tak kapryśny zwierz, iż biedny pastuszek padał cały potłuczony.

Wiedźma wtedy patrzała na nich i śmiała się serdecznie. Gdy już koń zadużo poczynął, jednym słówkiem uspokajała go.

— Ach gdybym wiedział, jak się on nazywa — wzdychał chłopak. — Imię jego, to nasza swoboda.

I wymyślał coraz to inne nazwy: Piorun, Grom, Poświst, Strzała, Orzeł, ale koń żadnego nie słuchał.

Nareszcie wypadek mu posłużył. Pewnego dnia czyścił stajnię jak zazwyczaj i musiał na chwilę przeprowadzić konia na inne miejsce.

Odwiązał uzdę, gdy nagle spokojne dotąd zwierzę, zaczęło skakać, stawać dęba i wyrywać się co sił.

— Na pomoc, na pomoc! — zawołał przerażony chłopak, czepiając się uzdy — koń mi się wyrywa, ucieka...

Posłyszala czarownica i przerażona wybiegła co tchu, a tu koń już na dachu zameczyska, co będzie jeśli on ucieknie i wróci na księżyc? Zapomniała ze strachu o swej tajemnicy i zawołała:

— Wicherze, Wicherze, sam tu, bywaj.

I w jednej chwili skrzydlaty rumak, stanął przed nią, wyciągnął głowę i chciał się pieścić.

Ale wiedźma o pieśczościach nie myślała, odprowadziła go do stajni i mocno uwiązała w zagrodzie, a potem wzięła szpicrutę i wymierzyła nią ciężką karę.

Rżał, szarpał się skrzydlaty rumak, porwać chciał wędzidło,

a wiedźma go biła. Wkońcu znużona poszła do piwnicy i starem winem pokrzepiła stargane siły. Ze strachu i złości zapomniała, że „Figa“ posłyszała imię konia.

Jak tylko baba poszła do siebie, Zbyszko wbiegł do stajni.

— Wicherze, Wicherze — mówił, zbliżając się do konia — pozwól się popieścić. Daj nóżkę.

A koń posłuszny, kładł mu głowę na ramieniu, wyciągał szyję, dawał się pieścić i podawał nóżkę.

Chłopak nie posiadał się z radości.

— Niedługo, już niedługo, a więzy nasze opadną, na skrzydłach twych Wicherze ulecimy wolni — mówił, całując głowę końską.

Nazajutrz zaraz powiedział o wszystkim królownie. W pierwszej chwili zlekła się, wszak to ten skrzydlaty koń tu ją przyniósł.

— A teraz stąd wyniesie, królowno — mówił Zbyszko. — Do ojca, do matki wróćcie. Nie bójcie się.

Szczęсна prędko stłumiła strach. Była ona kapryśna, rozpieszczona, próżna i leniwa, ale nie była tchórzem. Mówiła sobie zawsze, że córka Przemka Długobrodego, króla, co słynał z męstwa, musi być odważną. Spokojnie więc odpowiedziała:

— Dobrze, uciekajmy. --

.....

Noc była ciemna, gdy królowna Szczęсна cichutko wysunęła się z sypialni dziewcząt i wybiegła na podwórze, gdzie już ją czekał Zbyszko. Chłopak nie kładł się dziś wcale.

Ścisnął za rękę królownę na znak, by milczała.

— Niedługo tam na ziemi, okaże się księżyc — szepnął — a wtedy...

Silny huk jakiś rozległ się w oddali. Jakby wozy kowane toczyły się po żelaznym moście.

Szczęсна przytuliła się przerażona do Zbyszka, ale ten się rozśmiał już głośno.

— Czarownica chrapie — rzekł — tem ci lepiej, oby grzmiała tak jak najdłużej. Widzisz ten promyk, co tu wchodzi przez otwór u góry. To księżyc. — Czas w drogę.

Wszedł do stajni i pieszczotliwie ją przemawiać do konia:

— Wichrze, przyjacielu drogi, pielegnowałem cię tyle czasu, dbałem o ciebie, jak o brata, teraz ty nas stąd wynieś, swobodę nam daj! — mówił, wkładając wędzidło koniowi i siodlając go.

Wicher zdawał się rozumieć chłopca. Łagodny, jak baranek, nie stawiał żadnego oporu, cicho wyszedł ze stajni, tylko głowę kładł na ramieniu Zbyszka, pieszcząc się z nim. Szczęsna drżała ze strachu, patrząc na skrzydła rumaka i myśląc o przyszłej podróży, ale nie mówiła nic, cieszyła się tylko, iż w ciemności pastuszek nie dojrzy jej przerażenia. Zbyszko usadowił ją na siodle, poczem wskoczył sam, a koń, nie czekając rozkazu, wzniosł się wysoko.

— Trzymaj mię za pasek, królewno — szepnął Zbyszko — i to mocno, byś nie spadła.

Byli już ponad ziemią zalaną łagodnem światłem księżyca.

Z rozpostartemi czarnemi skrzydłami, płynął ptak-koń coraz wyżej i wyżej. Królewna pochyliła się i oburącz objęła pastuszkę.

— Wichrze, Wichrze, zniż lot swój — zawołał nagle Zbyszko. — Na ziemię, na ziemię spuść się...

Ale skrzydlaty rumak leciał wciąż w górę.

— Zgubieni jesteśmy — szepnęła dziewczynka — wszak on nas niesie ku księżycowi.

— Cicho, cicho, królewno — uspokajał chłopak — trzymaj się mnie tylko silnie. — Wichrze, Wichrze, na ziemię, na ziemię się spuść.

Koń wstrzymał swój lot i stanął nagle jak zaklęty w powietrzu, z szeroko rozpostartemi skrzydłami. Zdawało się, że czeka na coś — lub nasłuchuje jakiegoś wołania.

Dzieci spojrzały w dół.

Zawieszeni byli ponad ziemią, a wydała się im taką małą, nikłą — a taką drogą.

— O gdyby spływać już, paść na topole i łąki i całować je — myślał chłopak.

Królewna przymknęła oczy. Bała się zawrotu głowy.

Zbyszkowi serce biło z trwogi i niepokoju. — Zaczął pieszczotliwie przemawiać do konia, głaskać go po wygiętej cienkiej szyi.

— Wicherze, Wicherze, — mówił — spuść się na ziemię. Znieś nas tam, do pałacu królewskiego, lub do ubogiej chaty mego ojca. Koniu drogi, zbawcą nam bądź, wyzwól nas z srogiej niewoli czarownicy. — Wicherze... swobodę nam daj.

Nagle królewna podniosła głowę i przemówiła do skrzydlatego rumaka.

— Gdy wrócisz mnie ojcu, Wicherze — mówiła — on, król potężny nie zapomni ci tego. W złoconej stajni będzie twój żłób, a służyć ci będą najwyżsi dostojnicy kraju. Królewska nagroda nie minie cię Wicherze.

Koń wstrząsnął grzywą, uderzył w skrzydła i nagle począł się spuszczać ku ziemi. Zbyszko i Szczęsna odetchnęli. Za chwilę już będą wolni.

Wtem stała się rzecz straszna. — Skrzydlaty rumak spuszczał się ponad górą czarownicy, już, już wleci do otworu.

— Wicherze, Wicherze — błagał ostatnim wysiłkiem głosu Zbyszko — ulituj się nad nami, nie gub nas.

— Wicherze, Wicherze, sam tu bywaj, — rozległ się głos przeraźliwy z głębi otworu.

I koń posłuszny rozkazowi, niósł dzieci z powrotem do czarownicy.

Zdrętwiali z przerażenia, bladzi, z szeroko otwartymi oczami siedzieli nieszczęśni na siodle, gdy rumak stanął na dachu zamczyska.

Stała tam straszna, przerażająca wiedźma. Świsnęła przeraźliwie, widząc ich drżących, splecionych uściskiem ze sobą. Kościstymi rękami porwała dzieci z siodła. Szczypała przytem

niemiłosiernie. Podniosła w górę oboje, potem z wściekłością cisnęła na ziemię.

— Porachujemy się ze sobą za chwilę — mówiła, dysząc ze złości, zła baba. — Nie ujdzie wam tak na sucho ta wasza wyprawa. Wpierw jednak rozprawię się z tobą niegodziwy potworze — dodała, zwracając się do konia.

I w szalonym gniewie, zapominając o wszystkim, wyrwała żelazny pręt ze stajni i dalejże okładać nim konia.

Rumak skoczył w bok, stanął dęba i wierzgnął tak potężnie, iż uzdę wydarł z rąk wiedźmy.

Przez otwór w skale wpadł jasny blask księżyca i oświetlił cały dach.

Koń zarżał radośnie, rozwinął skrzydła, uderzył niemi i poszybował w górę.

Przeraziła się wiedźma.

— Wichrze — zawołała, biegnąc ku górze — przebaczam ci, wracaj! Wichrze, wracaj! Koń odpowiedział jej tylko wesołym rżeniem. Poczem wzniósł się tak wysoko, iż wydawał się malutkim jak owad jakiś, jak leśna łątka lub motyl. Jeszcze chwilka, a już znikł zupełnie w przestworzu. Tylko na jasnym niebie ciemna plamka widnieje.

Skrzydlaty koń wrócił do kraju swego, na księżyc.

Czarownica rzuciła się na ziemię, zaczęła krzyczeć przeraźliwie, bić głową o mur, aż spadł jej kołpak i siwe, szczeci-niaste włosy pokryły ją całą.

— Mój koń, mój Wicher odleciał i co pocznę, co pocznę tu w podziemiach! — wołała, bijąc pięściami i nogami tak mocno, iż prze-rażone krzykiem i hukiem zbiegły się ze wszech stron dziewczęta.

— Wy tu po co? po co? — zawołała — przecz, precz! bo poduszę wszystkie.

I porwała się z ziemi tak przeraźliwie straszna, iż dzieci wszystkie co sił w nogi, rozbiegły się drżące po różnych kątach i lochach.

Tylko dwoje nieszczęsnych zbiegów nie ruszało się z ziemi. Królewna i pastuszek.

Na nich rzuciła się wiedźma.

— Niegodziwe, wstrętne istoty — wołała, pieniać się cała. — Coście mi wyrządzili! Poczekaj ty jasna królewno i ty przemądra Figo, już ja wam tego nie zapomnę.

— Mówiono wam, że czarownica zjada dzieci, otóż gorzej będzie z wami. Rzucę was głodnym wieprzom, niech was one pożrą.

Szczęсна zadrżała, takiej złości nie widziała nigdy. Niema dla nich ratunku, zginą straszną śmiercią.

Wiedźma spostrzegła przerażenie dziewczynki i ucieszyła się.

— He, he, he — śmiała się okropnym swym śmiechem — trzęsiesz się ze strachu, królewno, nie bój się, ojculek, król, przyjdzie tu z wielkim wojskiem i odbierze ciebie, he, he, he. A ty w chlewku z prosiatkami siedzisz.

Zbyszko już dłużej słuchać nie mógł.

— Pani czarownico — rzekł — nie męczcie niewinnego dziecka, jam wszystko zrobił. Nie jestem Figą, ani żadną dziewczynką. Nazywam się Zbyszko i jestem chłopcem.

Czarownica skoczyła ku niemu.

— Ach niegodziwce — zawołała. — Więc ty mię oszukałeś i pocóż dobrowolnie wlałeś tu w moje szpony?

— Jakto po co? — odrzekł chłopak — po to, by uratować królewne i wszystkie dzieci, któreście porywali. No i chciałem na skrzydlatym koniu wywieźć naprzód królewne, a potem...

— Co potem? — przerwała wiedźma — skończ.

— Wróciłbym tu po inne dzieci.

— Ślicznie pomyślana rzecz — mówiła wiedźma — szkoda wielka, że się nie udało. No i teraz jesteśmy tu wszyscy niewolnikami, bo ani ja, ani ty, odważny zuchu, stąd nie wyjdziemy bez skrzydlatego konia, i cóż więc pocniemy?

Chłopak stał milczący.

— Otóż teraz ja powiem — rzekła wiedźma. — Bez konia nie wyjdę na ziemię, nie przyniosę zapasów żywności. Trzeba żyć tem, co mamy. Trudno, bym myślała o tych, którzy mi tyle złego wyrządzili, albo o innych próżniakach. Zamknę was w ciemnym lochu, nie zjedzą was żywcem wieprze, lecz poumieracie z głodu. To będzie wasza kara. A ty będziesz patrzył, jak się te dzieci będą męczyły. Ucieszy cię to, prawda?

— Teraz marsz do lochu.

Chwyciła królowną za złote włosy, Zbyszka za ramię i powlokła ich po kamiennych schodach, głęboko, głęboko w ciemne podziemia.

Straszna, ciemna noc otoczyła ze wszech stron dzieci. Wiedźma spełniła swą obietnicę i wszystką drobną diabelską złą sprawę zegnała tu.

— Niech was Zbyszko żywi — mówiła — chciał przecie być waszym zbawcą.

Drżące, przerażone siedziały dzieci, przytulone jedno do drugich. Zmęczona strasznymi wrażeniami, leżała na wilgotnej ziemi królowna. Zbyszko siedział koło niej, nie śmiejąc już nawet nie do niej przemówić.

— Dlaczego — myślał sobie chłopak — koń nie usłuchał nas, czemu wrócił on do wiedźmy? wszak tak prosiliśmy go. Bylibyśmy już wolni. A tak... co się z nami stanie?

— Zbyszku — szepnęła królowna — ja wiem, czemu koń wrócił tu i nas oddał w moc wiedźmy. Moja to wina.

— Jakto? — zapytał chłopak.

A dziewczynka mówiła ze łzami:

— Mówiłeś sam, że gdyby wszyscy pracowali, gdyby mnie nauczono wcześniej pracować i słuchać mądrych ludzi, toby wiedźma mię nie porwała. Ale byłam próżniaczką i sama nie nie robiłam i drugim przeszkadzałam. Nie słuchałam ani ojca, ani matki, nikogo, i słusznie mnie wiedźma zabrała.

— Nie mówcie już o tem — prosił chłopak — nie rozżalajcie się, lepiej pomyślm, jak się stąd wydobyć.

Szczęсна płakać zaczęła.

— Nie, my już tu zginiemy i to tylko z mojej winy. Próżniaczką byłam i wierzyłam, że złotem kupić wszystkich i wszystko można. Powiedziałam skrzydlatemu koniowi, że ojciec mój da mu złoty żłób, że go nagrodzi i on pewno zagniewał się za to na mnie.

Zbyszko westchnął i nic nie odpowiedział.

Splakani i przerażeni więźniowie czarownicy posnęli w końcu.

Zbyszko też położył się, myśląc wciąż o tem, jakby się stąd wydostać.

Nagle zajaśniało w lochu. Ktoś duży, jasny stał i pochylał się nad nim.

Zbyszko ręce wyciągnął. Toż to dziadek, ten z łąki tam, co to u niego dzień cały siedział.

— Dziadku — zawołał z radością — ratujcie królownę i tych biedaków.

A dziadek patrzył na niego i uśmiechał się tylko.

— Ten tylko wolnym się stanie — rzekł silnym głosem — kto sam na swą wolność potrafi zapracować, mówiłem ci to już kiedyś. Nie sztuka na skrzydłach ptaka wylecieć i jeszcze mu nagrodę obiecywać za to. Własną pracą, własną wolą trzeba sobie i drugim radzić. Pamiętaj to, a serce miej mężne, śmiałe a czyste.

— Ach dziadku, dziadku — wołał chłopak — więc my wolni być możemy?

— Moc w sobie miej i o ziemi myśl, cóż matce z dzieci, które ją miłować nie umieją.

Dziadek się poruszył, jakby odejść chciał, a Zbyszko porwał się ku niemu.

I zbudził się, poznał że to był sen tylko, ale on już miał moc w sobie, czuł, że musi być wolnym, że w tym lochu nie zginie.

Po omacku obchodził cały loch dokoła.

Nagle drgnął, ręka jego dotknęła czegoś, co wisiało u sklepienia. Ostrożnie szukał po raz drugi. Naprawdę, to kaganiec. Zapomniała widać o nim wiedźma, ach, przecie ma w kieszeni krzemień. Nosił go zawsze ze sobą. Będzie jasność.

Nie namyślał się długo, skrzesał ognia i zapalił płomyk. Dzieci spały wszystkie.

— Niech śpią — pomyślał chłopak — silniejsze będą.

Z kagankiem w ręku oglądał cały loch, niżej jeszcze szły jakieś napoły połamane schody. Zbyszko zsunął się w dół. Był głęboko, głęboko pod ziemią, pewno nikt tu nigdy nie schodził, bo wiedźma bałaby się tych schodów.

Ale Zbyszko umiał chodzić, po skałach zsuwał się jak kot, lub skakał jak koza.

Poradził sobie.

— A tu znowu co! — jakaś motyka żelazna leży w dole. Porwał się chłopak, a podnosząc, posłyszał cichy szmer.

Aż krzyknął z radości. Toż woda! Nie poumierają z pragnienia, a do głodu wszyscy my już przyzwyczajeni. Trzeba ich tu sprowadzić. Wdarł się co prędzej na górę i pobudził śpiących.

— Słuchajcie — mówił — wszak chcecie żyć? chcecie być wolnymi?

— Chcemy, chcemy! — zawołały najmniejsze dzieci. — My nie chcemy umierać w ciemnej jamie tej. Zbyszku, ratuj nas! Starsze dzieci patrzyły trochę zdziwione i nie mówiły.

— Widzicie — zawołał Zbyszko — wy już tak zżyliście się z tą niewolą, że nawet mocy tej nie macie, co te małe. Czyż wy nie chcecie naprawdę wyjść stąd, zobaczyć słońce, odetchnąć wolnością?

— Ale cóż chcesz, byśmy robiły? — zapytały go wszystkie.

— Do roboty stawajmy wszyscy zaraz — mówił chłopak — a niech każda z was myśli tylko o tem, że musi być wolną i robi to, co każe. I ty królewno i wy wszystkie. Nie traćmy i chwili.

— Prowadź nas Zbyszku — zawołała królowna, będziemy — cię słuchać, bo ty jeden wyprowadzisz nas stąd.

Zbyszko wprowadził ich w głąb podziemi, do źródła.

Rzucili się wszyscy ku wodzie. Pytali też, skąd wziął kaganek.

Ale chłopak, dużo nie mówiąc, zabrał się do roboty, wziął motykę i kopał ziemię.

— Góra z piasku — mówił — musimy w niej zrobić otwór, a wtedy zobaczycie. Ja będę kopał, a wy piasek usuwajcie na stronę.

Zabrali się do roboty z taką mocą, że żaden wielkolud im by nie dorównał. Małemi rączkami grzebały się dziewczynki w ziemi, odsuwały ją na stronę, a Zbyszko kopał górę.

Żadne dziecko nie odzywało się, pracowano w milczeniu, tylko serduszka były im w piersiach tak głośno, że je słyszeć mogli.

— A gdy wyjdziemy na ziemię — rzekł nagle Zbyszko — nikt już tam z nas próżniakiem nie będzie.

— Nikt, nikt! — zawołała królowna, a za nią inne dzieci — pracować będziemy i to w zgodzie i miłości.

Pracowano dalej. Królowna niezmordowaną była, pracą swą zachęcała innych. Nie chciała ani na chwilę spocząć.

— Nie czas, nie czas teraz mówić o wypoczynku — wołała — pracujmy dalej.

Nagle Zbyszko stanął. Motyka uderzyła o coś twardego i zabrzęczała. Chłopak skoczył po kaganek, odsunął ziemię i zobaczył kratę.

— Podziemny kurytarz — rzekł.

Dzieci stanęły przerażone.

— Nie bójcie się — uspokajał pastuszek — to pewno jakieś dawne wejście na górę zasypane. Może i czarownica o niem nie wiedziała. Podwarzymy kratę i pójdziemy na schody.

Schylił się, położył motykę i podniósł trochę kratę do góry.

Królewna skoczyła ku pomocy. Pokrwawiła sobie rączki, ale nie cofnęła się, inne dzieci poszły za nią.

I stał się cud, słabe rączyny tyle miały mocy, że zardzewiała sprężyna puściła i zobaczono tak, jak mówił Zbyszko, schody kamienne, wiodące ku górze.

— Prędko, prędko przechodźcie tam — wołał chłopak — niema czasu do stracenia, a nuż czarownica zajrzy do podziemi i nie znajdzie nas, gotowa tu gonić.

I pierwszy wbiegł na schody. Dzieci szły za nim.

Wykute w skale schody były ciemne, niskie i kręte, a tak wąskie, iż tylko małe nóżki dziecinne utrzymać się na nich mogły.

Szli tak w milezeniu w górę, gdy nowa przeszkoda stanęła przed nimi. Schody skończyły się ścianą gładkiej skały. Byli w pułapce. Przerazenie ogarnęło dzieci i głośno płakać poczęły.

Wtem straszny huk rozległ się w podziemiu. To czarownica wyła, nie znajdując dzieci, a echo niesło tu jej krzyk i przekleństwo. Zbyszko zaśmiał się.

— Może imość pani krzyczeć, ile wlezie — rzekł — ale do nas nie dojdzie tu, bo się na schodach nie zmieści. Widzicie, jakie to szczęście, żeśmy tacy mali.

— No i nie bójcie się, miejcie odwagę i moc, a zobaczycie, że przecie wolnymi będziemy.

Zaczął się rozglądać chłopak dokoła i radość wielka napęłniła mu serce, oto spostrzegł różne chwasty i korzenie traw, rosnące z tej tu strony skały, wierzchołki ich gdzieś były na ziemi. A więc są tu szczeliny, skała tak bardzo grubą nie jest.

Targnął co sił korzenie chwastów, posypały się odłamki skały. Jasny promyk światła wpadł do ciemnej pieczary.

Zbyszko motyką walić zaczął w kamień, sypały się gruzy, dzieci stały zdumione, a mały pastuszek z coraz większą mocą walczył o swobodę. Rzucił motykę i dłonią szarpać począł skałę.

I zwyciężył. Rozsunęła się skalista góra. Zbyszko wziął

najmniejszą dziewczynkę i kazał jej iść przez otwór na ziemię. Za nią kolejną przeszły inne. Ostatni byli: królewna i pastuszek.

Wielkie słoneczne światło oślepiło na razie oczęta biednej dziatwy. Wszak tyle dni przebyli w ciemnicy.

Padli na ziemię-matkę i całowali ją, tuląc się do trawy miękkiej i ziół wonnych.

— Wolni! wolni! — śpiewały ich serca dziecinne, — wolni! powtarzały drzewa i kwiaty.

.....

Przed królewskim swym zamkiem siedział Przemko Długobrody. A mógł już teraz zwać się Śnieżno-brodym, bo biała broda spadała mu do pasa. Zgryzoty pochyliły jego wysoką postać. Srogie nieszczęście zgnębiło go. Wychodził co dzień przed zamczysko, patrzył na drogę wiodącą do skały czarownicy i nie dojrzeć nie mógł.

— Nie wróci już dziecko jedyne. Nie wrócą biedne dzieci.

— I ten dzielny pastuszek też zginął — myśli sobie król.

Wtem patrzy — coś ciemnieje na jasnej drodze, jakieś postacie drobne, małe, biegną tu.

Przysłonił oczy i pojąć nie może.

— Szczęsna, dziecko ukochane — słyszy za sobą głos żony. — Królowa wyszła na krużganek i matka pierwsza dziecko dojrzała. Wybiegli królestwo przed wrota, a tu córka już u nóg im leży, a z nią tyle innych dzieci. Malutką gęsiarkę przyniósł Zbyszko na plecach, bo już stać na nóżkach nie może.

Co za radość! co za szczęście! Gońców król wołać kazał, by biegli zwoływać ojców i matki zaginionych dzieci. A najszybszy niech leci do puszczy. W królewskiej karocy niech przywiozą Dobka i Jagnę i całą rodzinę pastuszka.

Ale Zbyszko woła, że jeszcze nie wszystko skończone.

— Królu, panie — mówi chłopak — toć-że tam u więdzmy zostały jeszcze dziewczyny, te duże, najstarsze. Ratować je trzeba.

Dajcie mi swe wojsko, pójdziemy tą drogą, kędyśmy szli, rozsadzimy skałę i uwolnimy je.

— Dzielny chłopcze — woła król — zbawcą jesteś wszystkich nas. Prowadź-że, a pójdziemy wszyscy razem ratować tamte niebogi.

— A ty żono — dodał, zwracając się do królowej — pomyśl o uczcie. Gości dziś będziemy mieli dużo, dużo.

Król ze swym orszakiem i z wojskiem pospieszył do skały czarownicy. Już byli w połowie drogi, gdy rozległ się straszny huk, tak silny, iż wszyscy popadali na ziemię. Gdy się podnieśli, nigdzie góry dojrzeć nie mogli.

Zbyszko wyprzedził wszystkich i pognał naprzód. Góra znikła. A na miejscu, gdzie była, stoją tylko dziewczyny uwięzione, stoją, rozglądają się i nie wiedzą, kędy im iść.

— Co się stało? gdzie czarownica? — pyta Zbyszko.

— Nie wiemy — mówią. — Wiedźma długo krzyczała, wyła ze złości, w końcu wygnała nas z podziemi na podwórze.

— Nie mam tu już nic do roboty — mówiła — zwyciężyła mnie moc wielka. Odchodzę, a wy wolne jesteście. Gdybym tu jednak wróciła, biada wam...

— Ledwo to rzekła, gdy się ziemia pod nią otworzyła, czerwone płomienie buchnęły dokoła. Stał się huk wielki, a ziemia się zatrzęsła. Dalej nie wiemy, co było, bośmy ze strachu przytomność postradały i nie wiemy, kto nas tu na ziemię naszą wyniósł.

Radośnie i wesoło wrócono do ogrodu, dokąd już zbiegł się niemal cały lud. Zebrano się w dużej komnacie i tam Zbyszko wszystko od początku opowiadał, nie nie opuszczając, bo dziś wiedział, że nikt się z niego śmiać nie będzie. Opowiedział więc i o dziadku i o swym śnie.

Płakali ludzie, słuchając chłopca.

Oto ten mały pastuszek, syn ubogiego drwala, uczynił to, czego nikt z najdzielniejszych rycerzy dokonać nie mógł. Jemu

cześć i sława. Sława Zbyszkowi. — wołano dokoła — a ojciec i matka tulili go ze łzami szczęścia.

— Powiedz-że teraz Zbyszku — zapytał król — jakiej nagrody żądasz?

— Nagrody? — powtórzył chłopak — a jakąż, królu, miałbym mieć? Przecie spełniłem tylko swój obowiązek. *Duch ziemi*, bo chyba to on był tym dziadkiem, dał mi moc, no, to i zrobiłem. A jak już tak koniecznie chcecie mię czem obdarzyć, to dajcie mi panie kawałeczek ziemi, takiej, co to jej nikt nie chce. Postawimy tam z ojcem chałupę i jak z mocą weźmiemy się do niej, to bogactwem ona naszym się stanie.

— Ot taką nagrodę, to już mi dajcie.

— Ależ — rzekł król — połowa królestwa jest twoją z prawa, a Szczęsną oddam ci za żonę.

Rozśmiał się Zbyszko.

— I po co mi tyle dobra — rzekł — a inni to głodem umierać mają? Dajcie im to lepiej, królu. Żenić mi się też nie pora.

— Ani mnie ojczulku — zawołała Szczęsna — iść za mąż. Przedtem trzeba mi jeszcze wielu, wielu rzeczy się nauczyć. Dziś już jestem inną, bo ciężka bieda nauczyła mnie niejednego, ale mimo to uczyć mi się trzeba. Ot najlepiej wezwijcie mądrych ludzi, niech mnie i te wszystkie dzieci, co wróciły od czarownicy, uczą, byśmy już na zawsze wolnymi zostali.

— O, — zawołał Zbyszko — o taką nagrodę to i ja proszę.

Ucieszył się Przemko Długobrody żądaniu córki i obiecał spełnić je.

Zasiedli wszysecy do uczty, gdy naraz rozległa się pieśń tak piękna, że ludzie oniemieli z zachwyty.

To królewna Szczęsna ze Zbyszkciem i innemi dziećmi śpiewała:

Pierzechnął niewoli ponury cień,*)
Prysnęły więzień krwawe wrota,

*) Słowa Waleryi Szalay.

Oto wolności wschodzi nam dzień,
Wolności jutrznia złota!

Trud nas odkupił z przeszłości win,
Przed nami cały świat otwarty!...
Dalej! Do pracy! Niech wskaże czyn,
Kto z nas wolności warty!

Nie masz tu miejsca dla gnuśnych — nie
Dla nas nie straszny trud, ni praca —
Trza dobrze przeżyć życia dnie,
Bo żaden z nich nie wraca.

Baśń o Wilkołaku.

(Szwedzka).

Na starożytnym zamku królewskim ciężki panował smutek. W żałobnych szatach chadzał król Georgo. I malutką królową Selmę przybrano w czarne, smutne sukienki. Umarła bowiem dobra królowa Dagna i lud cały płakał po niej.

— Ach, czemuż musiała ona odejść z tej ziemi? — mówiono — której szczęściem była. Czemuż osierociła męża i dziewczątko jasnowłose.

Jak ona tę dziecinę kochała, jak się nią cieszyła, i ot nie ujrzą już oczy matki, jak dziecina zmieni się w dziewczątko, a potem w dorosłą dziewczę.

Smutno od śmierci królowej płynęły dni na zamku. Żadnych uezł, zabaw, gonitw, żadnych przyjęć u dworu.

Król wiecznie pracą zajęty, wolne chwile spędzał w dziecinnym pokoju, bawiąc się z małą Selmą, którą zwał swym promykiem słonecznym.

I naprawdę do słonecznego promyka podobną była królowna. Długie miała złote włosy i oczy jak dwa najpiękniejsze szafiry wesole i błyszczące. Mówiono, że bielszą jest od śniegów górskich, a różową, jak najpiękniejsza różyczka w wschodnim ogrodzie.

Kochał i pieścił król wielce swą córkę, a ona korzystając z pieszczot ojcowskich, robiła wszystko, co jej na myśl przyszło. Ojciec rad jej dogadzał, bo nad koronę i berło królewskie, milszy mu był srebrny śmiech Selmy.

Była już Selma sporą dziewczynką, gdy do zamku królewskiego zjechała można pani z dwoma córkami. I matka i córki były piękne, starały się też zjednać sobie wszystkich, a zwłaszcza Selmę.

Łakociami i pochlebstwami pozyskała sobie owa pani królowną, która w końcu żadnej ze swych opiekunek tak nie lubiła, jak tę nieznaną. Zato Gunara, piastunka stara, patrzeć na obcą panią nie mogła. Ostrzegała nawet Selmę, by jej zbytnio nie ufała, ale dziewczeczka oburzyła się.

— Jakto — zawołała — ona taka dobra dla mnie, córki jej miłymi są mi towarzyszkami, a ty chcesz, bym z niemi nie przestawała, bym unikała tej najlepszej z kobiet?

Nie nie pomogły przedstawienia wiernej opiekunki. Obca najpierwsze miejsce zajęła przy królownie, która najzupełniej jej wierzyła. Biedna Gunara widząc, że jej rad królowna nie słucha, prosiła króla, by mogła wrócić do starej wioski w góry. I odeszła z zamku.

Obca pani, długie rozmowy wiodła zazwyczaj z królowną, zawsze wykryła jakieś nieszczęście, którego wcale nie było, lub krzywdę, którą ktoś niby wyrządził królewskiej sierocie.

— Tak — mówiła, wzdychając -- biedną jest ta dziewczyna, która rośnie bez matki i siostry nie ma żadnej. Ojciec choćby najlepszy, matki jednak jej nie zastąpi.

— A gdybyś ty pani moją matką była — rzekła królowna — przecie ojciec mój mógłby się z tobą ożenić?

Właśnie tego pragnęła owa obca.

Uradowana ucałowała dziewczynkę i rzekła:

— Co też ci się śni, królowno moja, gdzież jabym ci matką mogła być, ślicznoto ty jedyna.

— Jużci, że chyba lepszej nad ciebie pani, matki bym mieć nie mogła — zawołała Selma.

A ta pochwyciła dziewczeczkę i pieszczotami ją obsypała.

— Jabym ci gwiazdkę z nieba rada była dać. — wołała. —

Niema rzeczy, którejbym dla ciebie nie zrobiła. Najszczęśliwszą byłabym, mogąc spełnić każde twoje życzenie. Dziewczęta moje służkami twoimi byłyby.

— Nigdy — zawołała królowna — siostrami najmilszymi tylko. I ucałowała obie dziewczyny.

Odtąd królowna myślała o tem, jakby ojca uprosić, by się z tą obcą ożenił.

Gdy pierwszy raz wspomniała o małżeństwie córka, król Georgo srodze się zgniewał.

— Jakto, ona chciała, by obca niewiasta weszła w dom ich i matki jej miejsce zajęła?

Ale Selma przywykła do tego, by wszystkie jej żądania spełniane były. Obca pani coraz to dla niej była lepszą, córki prześcigały się, by dogadzać królownie.

Póty więc do swego wracała, aż w końcu rzekł jej król:

— Dobrze, chcesz tego, bym tę niewiastę wziął za żonę, chcesz ją matką nazywać, spełnię twoje życzenie. Ale pamiętaj, jeśli z tego powodu będziesz miała kiedy jakie strapienie, jeśli ta wybrana przez ciebie matka, wyrządzi ci jaką przykrość lub krzywdę, niech ja o tem nie wiem. Niech nie widzę twoich łez, nie słyszę wyrzekania. Przrzekasz mi to?

— Przrzekam — odrzekła królowna, — byleś mi ją dał za matkę.

Nowe życie rozpoczęło się na królewskim dworze; obca pani była poprostu czarownicą, chciała wyjść za mąż za króla, by potem córki swe za królewiczów powydawać. Zabawy, uczty, tańce i gonitwy odbywały się co dnia. Ze wszech stron zjeżdżali się goście do zamku króla Georga.

Królowna rychło jednak odczuła, że ta matka nie kocha jej naprawdę. Była niby dobrą i troskliwą o Selmę, jak i dawniej; często jednak, gdy króla nie było w domu, poniosła sierota niejedną krzywdę. Nie płakała jednak, nie użalała się nikomu, bo przecie sama ojca nakłoniła, by się powtórnie ożenił i obiecała mu, że nigdy od niej skargi nie usłyszy.

Słodkimi słowy i uprzejmością wielką, wyłudzała czarownica bogate szaty i klejnoty Selmy dla córek swych.

Nie wiele to jednak pomagało. Selma z każdym rokiem piękniejszą była, a przybrane jej siostry coraz to brzydły. Choć już dziś królownami się zwały i żyły wśród bogactw i przepychu, którym je Selma otoczyła, niecierpiały sieroty i zazdrosne o nią były bardzo.

Złość i zazdrość żadnej twarzy nie zdobia, więc i córki czarownicy, coraz to brzydsze były.

Dorosły wszystkie trzy, i z różnych końców świata zjeżdżali się książęta, chcąc wziąć za żonę jedną z królewien. Darmo jednak królowa stroiła swe córki w złociste szaty, trefiła im włosy, a twarze myć kazała w węzowym ziele, zbieranym przy księżycu. Najpiękniejszą zawsze była Selma.

Od chwili, gdy przekonała się królowna, jak straszny błąd popełniła, prosząc ojca, by jej dał matkę, zmieniła się bardzo. Poznała, że trzeba słuchać starszych i wierzyć radom dobrych i życzliwych ludzi. Rozpieszczona królowna miała bardzo dobre serce i mądrą główkę.

— Nie będę płakała i żaliła się — powiedziała sobie — bo łzy i skargi nie mi nie pomogą. Będę pracowała, uczyła się, by móc dużo dobrego robić ludziom, a zwalczać zło. I otoczyła się mędrkami, a ci ją uczyli wielu ciekawych rzeczy. — Wspomagała chorych, ubogich, nikt smutny nie odszedł od królowny bez pomocy. Z każdym dniem była lepszą i mędrszą. Poznawała nie tylko życie ludzi, lecz zwierząt i roślin. I wszystkich otaczała swą opieką.

Wyśmiewała ją królowa czarownica za te wszystkie dziwactwa, mądrałą zwały siostry. Ojciec król jednak cieszył się córką, dumny był z niej, bo szeroko już po świecie słynęła mądrość i dobroć królowny sieroty. Lud cały kochał ją bardzo. A ptaki i zwierzęta zlatywały się i zbiegały do niej, gdy wyszła do lasu lub królewskiego ogrodu.

Każdy też księżę obcy, skoro tylko przyjechał do zamku króla Georgo i zobaczył trzy królewny, na Selmę tylko patrzył, z nią tylko rozmawiał, choć zawsze najskromniej ubrana, najcichszą była wśród wszystkich.

W oczach jej było tyle rozumu, w obejściu tyle wdzięku, taką dobrocią tchnęła cała jej postać, że każdego oczy na siebie zwracała.

Gniewało to wielce czarownicę i jej córki. Bały się jednak okazać swą złość wobec króla, Georgo bowiem kochał nad życie córkę i skrzywdzić by jej nie dał.

— Trzeba by ją raz z domu wyprowadzić — mówiła czarownica do córek — póki ona tu będzie, nikt na was uwagi nie zwróci.

— Przecie masz czary — rzekła jedna z córek — to daj się jej napić jakiego ziela, niech zaśnie raz na zawsze.

Czarownica głową pokręciła.

— Nie — rzekła — to się zrobić nie da. Gdyby tak zaśnęła, jak mówisz, mógłby ktoś spostrzedz, ludzie źli, kto wie, coby królowi nie naopowiadali. Ostrożną należy być zawsze.

Niedługo coś po tej rozmowie zjechał do zamku królewicz Nils, syn największego króla, i sam rycerz wielki. Powiadano o nim, że panować będzie nad ziemią, żelazem i wodą. Gdyż miał pola bogate i uprawne, ogromne góry, a w nich żelaza pokłady i morza obszerne. Był przytem dzielny rycerzem i myśliwcem zawołanym.

Czarownica-królowa chciała koniecznie ożenić go ze swą starszą córką. Ale Nils ani spojrzał w jej stronę. Oczy miał tylko zwrócone w stronę Selmy i zaraz trzeciego dnia po swym przyjeździe, prosił króla Georgo, by mu ją dał za żonę.

— Pięknych dziewic widziałem dużo na świecie — mówił — ale takiej dobrej i rozumnej królewny jak Selma, nie masz nigdzie. Kraj mój duży, pracy będę miał sporo, otóż trzeba mi dobrej i mądrej towarzyszki, trzeba ludowi memu matki królowej. Dajcież mi królu panie swą Selmę za żonę.

Uradował się król temi słowy i z radością przyrzekł mu rękę córki.

Odbyły się zaraz zaręczyny królowny. Selma jednak zabaw nie chciała, uprosiła ojca, by wszystkie pieniądze, które miały iść na uczty i bale, rozdać ludowi biednemu. Nils, dowiedziawszy się o tem, drugie tyle dał złota od siebie, a królowna obdarzała biedaków, a dla małych sierót kazała zbudować wielki dom, w którym by się biedactwa chowały.

Królowa-czarownica odchorowała zaręczyny Selmy. Córka jej spokoju nie dawała, bo zazdrosna dziewczyna znieść nie mogła myśli, że Selma największą królową na świecie zostanie. Wyrzucała matce, że temu przeszkodzić nie umiała.

Wtem nadeszła wieść, iż sąsiedni król wtargnął do kraju z dużem wojskiem. Król Georgo zebrał swoją drużynę i pospieszył ku obronie. Chciał z nim iść i Nils, ale król prosił go, by został na zamku, obawiał się bowiem, by wróg zdradziecko w czasie jego nieobecności nie napadł grodu.

Jak tylko wyruszył król z zamku, czarownica zmieniła się zupełnie dla Selmy. Wymyśliła, iż wśród ubogich, przychodzących na zamek po wsparcie do królowny, snuć się może dużo szpiegów i zdrajców, którzy gród przychodzą obejrzyć. Kazała więc bramy zamknąć, a biedny lud precz pędzić.

Oddaliła również najlepsze sługi królowny. Z każdym dniem cięższe życie stawało się sierocie; zносиła jednak wszystko cierpliwie.

Czarownica zamyślała nie dopuścić do ślubu królowny z Nilsem. A że Selmie bała się coś złego urządzić, postanowiła przeto pozbyć się królewicza.

— Gdy Nilsa nie stanie — myślała sobie — Selma z rozpaczy umrze, a królestwo przejdzie na moje dziewczyny.

W parę dni potem, wybrał się królewicz na łowy. Królowa czarami swymi i zaklęciami przeróżnemi, zamieniła go w wilka. Wrócili dworacy z łowów, a królewicza nie było, odłączył się od

nich — mówili — w puszczy, i zginął; próżno dzień cały i noc długą szukali go. Nigdzie ni śladu.

Przestraszyła się niby królowa i orszak zbrojny wysłała do lasu szukać Nilsa.

Selma chodziła jak nieprzytomna.

Siostry uśmiechały się, patrząc na nią.

— Może ten wielki rycerz — mówiły — uciekł do własnego kraju pieszo, bo przecie koń wrócił na zamek, a gdyby go jakie nieszczęście spotkało, to przecie jakiś ślad by po nim został.

— Doszły go pewno wieści, że na gród nasz ciągnie wróg i wołał wrócić do siebie, niż tu walczyć w obronie narzeczonej.

— A może i ona go znudziła, bo przecie wesolą nie jest, wciąż tylko o chorych, o biedakach mówi, a wynosi się nad inne dziewczyny swego kraju; miał już chyba tego dość, to wołał wrócić do siebie.

Tak niby między sobą rozmawiały złe siostry. Starły się jednak, by słowa ich doszły do uszu Selmy.

Mężnie znosiła swą wielką boleść dziewczyna. Lud cały, wszyscy ci, którym opiekunką była, szukali wciąż zaginionego królewicza, ale napróżno.

Przeszły tak na poszukiwaniach długie tygodnie. W końcu Selma postanowiła sama pójść do puszczy ciemnej szukać Nilsa. Ofuknęła ją na razie królowa, gdy prosić przyszła o pozwolenie pójścia do lasu.

— Nie dziewczęca to rzecz — mówiła — po kniei się włóczyć, zresztą tyłu już rycerzy szuka królewicza i znaleźć nie może, a ty wiecznie zarozumiała myślisz, że wszystko zaraz lepiej od innych zrobisz.

Z oczu Selmy trysnęły łzy.

— Pozwólcie mi matko pójść w puszcę — błagała — chwili spokoju nie mam, że może on tam gdzie w gąszczy umiera. Pozwólcie, proszę.

Płakała tak rzewnie, że aż złe serce czarownicy zmiękło. Pozwoliła w końcu, ale obawiając się, by król się nie dowiedział, że samą Selmę do puszczy wyprawiła, kazała swej starszej córce iść z nią, a przed zachodem słońca powinny były wrócić do zamku.

Córka czarownicy zła była okrutnie, że musi iść w spiekę do lasu.

— Słońce spali mi lica, włóczę się po puszczy, pozbijam sobie nogi, zmęcę się i poco to wszystko? Kaprysy Selmy jedynie, mogłaby przecie matka tak jej nie dogadzać.

Poszły obie, chodziły długo, zaglądały w najbardziej dzikie miejsca, ale nigdzie śladu żadnego nie było. Słońce już się miało ku zachodowi i córka czarownicy wołać zaczęła o powrót do domu.

— Jeszcze tylko — rzekła Selma — zajrzę w ten gąszcz, ot tam z boku. Tak tam drzewa splątane ze sobą, że pewno nikt tam nie mógł się wdrzeć.

— A to już idź sama — zawołała tamta — w takich zaroślach tylko dziki zwierz może być ukryty lub gniazdo żmij. Ani mi się śni tam zaglądać.

— To tylko na mnie chwilkę zaczekaj — rzekła Selma — wrócę niebawem.

I pobiegła do zarośli. Zbliżając się, posłyszała cichy jęk.

— A więc nie omyliło mię przecucie — pomyślała — on tu leży. Przedarła się przez krzaki tarniny i osty leśne i weszła w głąb zarośli.

Wśród poplątanych gałęzi drzew, leżała jakaś staruszka srodze potłuczona.

Selma widząc nieszczęśliwą samą w tej dzikiej kniei, rzuciła się ku niej z pomocą. Miała ze sobą wodę w tykwie, zabrała ją, myśląc, iż może w puszczy rannego Nilsa gdzieś znajdzie. Dała więc się napić biedaczce, obmyła jej rany, podniosła z ziemi, na której leżała. A gdy nieznajoma przyszła do siebie, Selma prosiła ją, by się wsparła na niej, a ona ją z tych strasznych zarośli wyprowadzi.

— Siostra moja jest tu w pobliżu — rzekła — zabierzemy więc was ze sobą do zamku naszego króla.

— A więc ty jesteś Selmą, królowną naszą — rzekła babina, — jakżebym śmiała wspierać się na tobie, ja biedna żebraczka.

Ale Selma prosiła, i biedna obdarta babka zarzuciła ręce na jej szyję, a królowna wyniosła ją z zarośli. Na szczęście staruszka lekka była jak piórko.

Ale rękę miała mocno skaleczoną. Zdjęła więc Selma swój szal jedwabny z głowy, obłożyła ranę gojącym zieleń i obwinęła jedwabiem.

Obejrzała się za siostrą, by z nią staruszkę do zamku odprowadzić, ale nigdzie ani śladu niedobrej dziewczyny. Znudziło ją czekanie i poszła do grodu.

— Nie kłopotcie się śliczna królowno o mnie — odezwała się staruszka. — Dobrze tu, miękko na mchu, ręka mnie już wcale nie boli. Przenocuję tu, a jutro pójdę swoją drogą. Ale co też wy sami robicie w tej puszczy.

Selma opowiedziała babinie swoje nieszczęście, jako że zginął królewicz jej narzeczony i ona wyszła do puszczy szukać go. Opowiadając, rozplakała się, a babina spracowaną ręką przesunęła po jej złotych włosach?

— Nie płaczcie śliczna królowno — rzekła. — Wspomogliście mnie, a teraz ja was wspomogę. Idźcie w las, niedaleko stąd będzie góra stroma i wysoka; na stokach jej rośnie biały kwiat. To wasz kwiat szczęścia. Ale musicie go zerwać sami i to przed zachodem słońca. Spieszcież, bo już tylko patrzeć, a schowa się ono.

— Ależ wy? — zapytała Selma — jakże tu zostaniecie sami?

— Nie kłopotcie się o mnie, spieszcież tylko, bo czas uchodzi; gdy dziś nie uszczkniecie kwiatka tego, nie zakwitnie już on dla was poraz drugi. Spieszcież. A jak kwiat zerwiecie, spotkacie tam kogoś, kto wam powie, co uczynić macie, słuchajcie!

Selma nie namyślała się i poszła w stronę, którą jej starowina wskazała.

Szła długo, przedzierała się przez różne chwasty, krwawiła dłonie, w końcu ujrzała ową górę; stromą była i wejście na nią ogromnie trudne. U stóp góry na wysokiej łądydze jaśniał biały kwiat. Zapach jego rozchodził się dokoła. Krzyknęła Selma z radości i skoczyła, chcąc go zerwać. Dobiegła do miejsca, gdzie rósł, a wtem znikł on jej z oczu. Byłżeby to sen? — powiedziała sobie królowna — przecież widziała go, tu rósł. Cudowna woń napełniała powietrze. Patrzy dziewczyna, a ów kwiat rośnie ponad jej głową. Zaczęła się wdzierać na górę, już doszła, wyciągnęła rękę i znowu kwiecie znikło. A tu góra coraz bardziej stroma, coraz trudniej na nią się wdzierać. Krew płynęła z rąk królowny, nogi już słabły, zmęczoną była straszliwie, a kwiat wciąż od niej uciekał. Szła za nim wyżej i wyżej, наконец ujrzała go u samego szczytu. Na czworaku niemal wdzierała się królowna, a tu już, już, zaraz zajdzie jasne słońko. Ostatnim wysiłkiem wdarła się na szczyt urwistej skały, i krzyk radości rozległ się w powietrzu. Trzymała w ręku śnieżny kwiat szczęścia.

Zagasyły ostatnie promienie słoneczne, a królowna z białym kwiatem w dłoni siedziała na skale.

— Cóż teraz będzie? — myśli sobie złotowłosa córka królowa. — Noc zaraz przyjdzie, niepodobna mi wracać lasem do domu. A tam królowa matka niepokoić się o mnie będzie; możebym jednak spróbowała, pójde powoli.

Podniosła się i chciała iść, wtem jakiś głos zawołał:

— Ani kroku dalej, bo pod nogami przepaść ciemna!

Obejrzała się skąd głos wychodzi i zobaczyła malutkiego karzelka. Zaledwo sięgał jej do kolan, w ręku miał kij sękaty i długą, siwą brodę.

— Jeśli chcesz królowno znaleźć Nilsa — mówił mały człowieczek — to musisz mię słuchać. Nie wolno ci iść do zamku,

a nie trwóż się, nikt tam po tobie nie płacze. Chodź, zejdziemy w dół góry.

Gdy zeszli, karzeł podał królownie krzesiwo i kazał jej rozniecić wielki ogień. Nazbierała Selma igliwa, gałązek suchych i ułożywszy stos wielki, zapaliła ogień jasny.

— Teraz — rzekł karzeł — pójdź na drugą stronę góry, stoi tam kociołek ze smołą, przynieś go tu i postaw na ogniu.

Spełniła rozkaz, a za chwilę zagotowała się smoła w kociołku.

— Weź swój biały kwiat królowno i rzuć go do smoły — mówił znów karzeł.

Selma spojrzała przerażona. — Jakto? ona rzuci w ogień swój śliczny kwiat? kwiat szczęścia?

— Rzuć prędko, nie namyślaj się — mówił znów karzeł.

Przypomniała sobie, co mówiła babka, iż ma słuchać tego, kogo spotka na górze, i rzuciła kwiat do gotującej się smoły.

Zaledwo to uczyniła, rozległ się w lesie straszny trzask i łomot, w ciemności nocnej zabłyśły dwa ognie zielone, a jednocześnie dało się słyszeć straszne wycie. Selma zadrżała.

Z gąszczy wybiegł ogromny, szary wilk i biegł wprost na nią.

— Kociołek bierz, królowno — zawołał karzeł — wskocz na szczyt i wylej wszystką smołę na wilka.

Przerażona dziewczyna chwyciła kociołek z ognia i co sił wbiegła na szczyt. Wilk za nią. Już miał ją dopaść, wyszczerzył białe kły, gdy ona z góry oblała go smołą.

Z daleka, na wieżowym zegarze w zamku, wybiła właśnie północ.

Królowna przerażona oblała wilka smołą, a sama tak się zlekła, że aż oczy ze strachu zamknęła. Nie wiedziała, co się dzieje dokoła. Poczuła, że ktoś tknął jej ramienia. Patrzy, płomień jasny bucha z dołu, a obok niej stoi śliczny królewicz Nils, — jej narzeczony, a u nóg ich skóra szarego wilka.

— Selmo droga — woła Nils — wybawiłaś mię ty jedna. Rzuciła na mnie czary zła baba, a oto twoja dobroć i wytrwałość ocaliły mnie.

Usiedli we troje na szczycie góry, bo i karzelek przyszedł do nich, i opowiadali sobie wszystko, co przecierpieli.

Królewicz mówił, jak mu straszno było być szarym wilkiem, biegać po puszczy i nie móc wrócić do ludzi. Królowna opowiadała, jak bardzo cierpiała z powodu jego zniknięcia, jak go szukał lud cały i jak w końcu uprosiła królowę, by jej do puszczy iść dała i co za przygody tu miała.

Nie opowiadała tylko, jak bardzo dokuczała jej królowa i jej złe córki.

Oboje dziękowali karzelkowi za jego rady i pomoc. Tak zeszała noc cała, pobladły gwiazdy i zajaśniał świt.

— Do zamku pójdziemy — rzekła królowna — wszyscy troje, toż będzie uciecha. Obyż ojciec powrócił rychło. Chodźmy.

— Zaczekaj królewno jeszcze chwilę — rzekł karzeł — i popatrz-no z tej góry na prawo w dolinę. — Co tu widzisz?

— Widzę jeźdźca — mówiła królowna — który pędzi co sił ku zamkowi.

— Goniec to królewski, ojciec twój wraca z wyprawy do domu.

Porwała się królowna i biec chciała ku zamkowi, ale karzeł powstrzymał ją.

— Nie czas jeszcze, nie, patrz dalej, królewno. Słońce już ozłociło szczyty gór.

— Ach! — zawołała królowna — jakiś tłum ludzi wychodzi z podwórza zamkowego, jedni spieszą ku gościńcowi, a drudzy w puszcze ciemną idą.

— Królowa wysyła jedną część dworu na spotkanie twego ojca, a tamci idą do kniei szukać ciebie, królewno.

Znowu upłynęła długa chwila, Selma wciąż patrzyła na drogę, którą miał wracać ojciec.

— Królewno — odezwał się karzeł — popatrz no w stronę zamku.

— Co to jest? — zawołała — dlaczego matka i siostry moje przywdziały grubą żałobę?

Karzeł uśmiechnął się.

— Nie przerażaj się, śliczne dziewczę — rzekł — to po twojej stracie tak się smucą.

— Ach, — prosiła Selma — pozwól, że pójde do nich, powiem, że żyjemy oboje. Niech-że się mój ojciec nie smuci.

Ale nie dał jej iść, — mówił, że jeszcze nie wybiła godzina.

Siedzieli we troje na szczycie góry. Wtem na gościńcu zamajaczyło coś, jakby obłok daleki, potem kurzawa straszna, aż wreszcie dojrzeli wyraźnie drużynę królewską. Na czele jej ojciec, król Georgo.

Słychać już było dźwięki trąb, tentent koni, powiewały narodowe chorągwie.

— A teraz, królewno — powiedział karzeł — popatrz no na zamek.

— Widzę królowę i córki jej, jak odziane w ciężką żałobę idą ku zamkowej bramie. Jakże płaczą.

— Po tobie królewno, i cóż dalej?

— Niosą trumnę zamkniętą, ojciec wjeżdża we wrota, każe trumnę otworzyć, królowa i jej córki padły mu do nóg.

— Ach! ojciec miecz podniósł na królowę, pozwól mi iść. Niech jej nie zabija.

— Uspokój się, królewno i patrz dalej.

Selma drżąca spojrzała znowu w stronę zamku.

— Wybiegają za wrota: królowa i jej córki, cóż się stało?

— Kazał im król iść w puszcę szukać ciebie, teraz, królewno, weź tę wilczą skórę i stań tu, na boku góry.

Milcząc, spełniła rozkaz.

Za chwilę królowa z córkami zbliżyły się do podnóża góry.

— Rzuć skórę wilczą w dół — rozkazał karzeł.

Rzuciła królowna, i nowy cud się stał: oto królowa i jej obie córki zginęły. Trzy straszne wilczyce biegły w puszcze.

— A teraz, królowno — rzekł do zdumionej Selmy karzeł — zbiegnijcie wraz z Nilsem co sił z tej góry.

Wzięli się za ręce i w jednej chwili byli na dole. Padli wprost w objęcia króla, który wraz z drużyną wychodził z zamku szukać córki.

Uściskom i powitaniom nie było końca.

— A gdzież karzełek, dobroczyńca nasz? — zawołała nagle Selma.

Ale on znikł bez śladu.

Wrócił król z Selmą i Nilsem do zamku, gdzie sobie od początku wszystko kazał opowiedzieć, potem poszli na wielką ucztę, a potem żyli długo i szczęśliwie. Po puszczy zaś biegały trzy szare wilczyce i łyskając białymi kłami, straszyły ludzi.

Baśń o dobrym bracie i zakętym smoku.

(Angielska)

Na zamku Bamborugh żył ongi potężny król, miał on śliczną żonę, dzielnego syna Konнора i młodziutką córkę, którą lud zwał Ellen-serce. Była bowiem bardzo ładna i bardzo dobra. Mówiono, że zabiera serca ludzkie w niewolę.

Konnor lubił przygody i morskie wyprawy. Poprosił więc ojca, by mu pozwolił daleko, daleko popłynąć. Przygód i wrażeń nowych był on cheiwy. Popłynął, a z nim trzydziestu i dwóch żeglarzy.

Przeszły dnie, miesiące i lata, a o Konnorze i słych zaginął. Na zamku Bamborugh smutek zagościł wielki. Płakano wpierv za Konnore, a potem za śliczną i dobrą królową. Zmarła ona w parę lat po wyjeździe syna.

Płakał po niej lud, płakała córka i król płakał długo, aż raz na łowach spotkał śliczną panią, podobala mu się i posłał do niej swaty.

Piękna pani swatów mile przyjęła, pojechał więc król po nową królowę, a na zamku gotowano zabawy i uroczystości na przyjazd młodej pani.

Ellen-serce płakała gorzko, myśląc, że niedługo przyjedzie tu obca i matki jej miejsce zajmie, ale dobrą i posłuszną była córką, więc wola ojca była dla niej świętą, to też w dzień przyjazdu ojca z żoną przywdziała odświętne szaty i zeszła przed wrota, by tam powitać królowę i oddać jej klucze zamkowe.

Skoro tylko królestwo nadjechało, królowna złożyła im głęboki ukłon, mówiąc:

— Pozdrowiony bądź królu ojciec i ty królowo matko, wnijdźcie szczęśliwi w progi waszego domu, gdzie wszystko do was należy.

I podała królowej na haftowanej poduszce złote klucze.

— Na bogi me — zawołał jeden z rycerzy, będący w orszaku królewskim — toż nad królowną Ellen niema chyba piękniejszej kobiety w całym świecie.

Posłyszała to królowa i zawrzała gniewem strasznym. A знаła ona przeróżne czary.

Była też zazdrosną wielce, więc postanowiła zgubę królownej.

— Zginie na wieki jej piękność — powiedziała sobie — a ludzie bać się jej będą straszliwie.

Nocą poszła królowa do podziemnego lochu. Warzyła tam ciecze przeróżne, potem cicho weszła do sypialni Ellen-serca stanęła nad uśpioną, wymówiła trzy zaklęcia, zrobiła w powietrzu dziewięć pociągnięć. Pokropiła ją owym płynem zaklętym, szepcząc:

— Zamień się w smoka złego, znijdź nad brzeg morski i strasz tam ludzi. A tylko pocałunek brata twego Konнора może cię zmienić napowrót w królowną. Powiedziawszy to, poszła królowa do siebie i położyła się spać.

Nazajutrz krzyk straszny rozległ się w komnatach zamkowych.

Oto służki królownej Ellen przyszły ją ubierać, a tu zamiast ślicznej, złotowłosej dziewczeczki leży ohydny smok. Zobaczywszy dziewczętą, stanął na ogonie i chciał je kasać. Przerazone uciekły, zostawiając za sobą drzwi otwarte, wtedy potwór paru skokami wypadł na podwórze, dopadł morskiego brzegu i położył się na skale, w słońcu.

Królowna znikła bez śladu.

A po krainie poszedł posłuch, iż ohydny smok żyje na skale ponad morzem. Wypada on nieraz na pola i łąki, zabija bydło i niszczy zboża. Zmóc nikt go nie może. Bo ile razy wysyłano nawet wojsko przeciw niemu, potwór w jednej chwili zmieniał się w węża i krył w szczelinach skał wodnych.

Rozpacz ogarniała lud cały. Nikt nie był pewny swego mienia.

Dowiedziano się, że gdzieś w drugim kraju żyje mędrzec, który z ksiąg swych o wszystkim wie i wszystkiemu poradzić może. Wysłano więc posłów do niego z wielkimi darami i z prośbą, by kraj uwolnił od straszego potwora.

Mędrzec darów nie przyjął, do ksiąg tylko zajrzał, czytał, szukał długo, w końcu tak powiedział:

— Piękna i dobra Ellen-serce zamienioną została przez złą czarownicę w okropnego smoka. Nikt nie ma mocy, by go zamienić w królową, tylko jeden królewicz Konnor. Szukajcie więc go. On tylko zwalczy czar złego, królową odczaruje i tę, co ją w smoka zmieniła, ukaże. Szukajcie królewicza. A tymczasem smok cierpi głód straszny i dlatego niszczy wasze pola i porywa bydło. Weźcie siedm krów białych i codzień o zachodzie słońca mlekiem ich napełnijcie pieczarę w skale nad morzem. Smok mleka się napije i da wam spokój.

Zrobiono tak, jak mędrzec polecił. Wybrano siedm najpiękniejszych krów z całego państwa, karmiono je najlepszą paszą i mlekiem ich codzień napełniano jaskinię smoczą.

Potwór odtąd ani razu nikomu żadnej szkody nie wyrządził.

Wybrano najlepszych żeglarzy, takich, którzy już wszystkie morza zwiedzili, i posłano ich szukać królewicza Konнора.

O niczem teraz w całym państwie nie mówiono, jak o zaczarowaniu księżniczki, o smoku i o tem, gdzieby mógł być Konnor. Nikt pojąć nie mógł, za co i kto taki straszny urok rzucił na śliczną i dobrą Ellen-serce.

Słuchała tego wszystkiego zła królowa i śmiała się w duchu. Wyznaczyła nawet nagrodę dla tego żeglarza, który Konнора odnajdzie. Kazała sobie donosić o wszystkim, co się z nim dzieje, i o smoka pytała również często.

Nocą zaś, gdy wszyscy spali, zamieniała się w nietoperza, i leciała do ciemnej puszczy. Tam było wzgórze, zwane Łysą górą. Miejsce straszne, mówiono bowiem, że w tem miejscu zbierały się zawsze czarownice, wilkołaki i inne złe duchy i obmyślały, jak by zło szerzyć po świecie.

Otóż królowa była jedną z najgorszych czarownic i dlatego poszła za mąż za króla z Bamborough, by mieć władzę w rękę i lud coraz bardziej gnębić, zbierała na Łysej górze wszystkie duchy złe z ziemi i morza, leśne Satyry i morskie Wodniki, i kazała im gnać światem i Konnorowi nie dać wrócić do kraju.

Tymczasem po długich, długich poszukiwaniach wysłańcy ludu znaleźli królewicza. Opowiedzieli mu, co zaszło w kraju po jego odjeździe, jako, że dobra królowa umarła, a po jej śmierci król się ożenił z piękną, a nieznaną nikomu panią. Że w noc pierwszą, którą królowa spędziła na zamku w Bamborough, królowna zginęła, zamieniona w smoka. Powiedzieli, co mówił mędrzec i prosili Konнора, by co rychlej wracał do kraju.

Nie trzeba mu było tego powtarzać. Wieść o śmierci matki zasmuciła go głęboko. Siostrę postanowił ratować i zaraz złożył uroczystą przysięgę, że uwolni ją z mocy złych czarów, a królowę, boć że widocznem było, że ona to musiała czar rzucić na sierotę, srodze ukaże.

Trzydziestu dwóch towarzyszy Konнора powtórzyło wraz z nim tę przysięgę. I zaraz zabrano się do budowania okrętu wielkiego i silnego, aby go czarownica zniszczyć nie mogła, przód statku zrobiono z czarodziejskiego drzewa. Konnor posłów ludu zatrzymał, by wieść o jego powrocie nie doszła do czarownicy.

Ale miała ona swych szpiegów, którzy jej donieśli o po-

wrocie królewicza, co prędzej więc pospieszyła na Łysą górę, zwołała Poświsty, co wichry sprowadzali i Wodników, którzy morskie odmęty wzburzali, i kazała im sprowadzać burze, wichry i nawałnice.

— Rozpętajcie zakłęte siły morskie — wołała. — Niech fala huczy, orkany się wznoszą, niech dmą wichry, a Konnorowa stopa niech nie postanie na brzegu Bamborough.

Posłuszne służki w mig spełniły rozkaz swej pani. Nim zajaśniał świt białego dnia, rozszalały się burze morskie. Tysiące strzaskanych okrętów płynęło po morzu, a ludzi moc zginęło. Jak biały ptak, z szeroko rozwiniętymi żaglami, płynął okręt Konнора do rodzinnej ziemi. Spieszył brat ku ratunkowi siostry jedynej.

Złe duchy, służki czarownicy, nie miały nad okrętem mocy. Zbudował go Konnor z czarodziejskiego drzewa.

Czarownica szalała ze złości, smagała rozpalonymi w ogniu prętami Poświsty i Wodniki, a ci nie poradzić nie mogli.

Innego się sposobu wzięła. Nocą, przy księżycu, poleciała, zamieniona w sowę, nad brzeg, gdzie na skale leżał smok.

Rzuciła nań urok nowy. On miał niedopuścić, by żaglowiec Konнора przybił do brzegu.

Wróciła do zamku spokojna, że już teraz sama siostra brata zgubi.

Nazajutrz wzeszło jasne słońce i oświeciło spokojne morze. Białe mewy, jak duże, srebrne kwiaty, latały ponad wodą, ciesząc się ciszą i słońcem.

Żaglowiec Konнора ukazał się w dali.

Nagle smok padł do morza, wzburzył je, podpłynął do statku i o włos, że go nie wyrzucił.

Próżno załoga odganiała potwora, próżno Konnor sam wziął się do rudla. Trzy dni walczone tak z potworem i przybić do brzegu niepodobna było.

Z okien zamku swego patrzała królowa na tę walkę i cie-

szyla się nią. Póki stopa Konнора nie stanie na ziemi, póty trwa jej władza.

Ale i dzielny żeglarz znał różne czary, którymi zwalczać można było potwory. Zawrócił żaglowiec i tyłem statku wjeżdżał do przystani. Ponieważ smokowi kazano było pilnować tylko przodu, więc tu już mocy nie miał. Zwinął się na skale i patrzył, jak Konnor z towarzyszami wysiadał z okrętu i na brzeg wchodził.

Zobaczyła to i królowa, krzyknęła przeraźliwie i uciekła do swych komnat. Twarz jej w jednej chwili zrobiła się tak straszną, że nikt ze sług dworskich za nią nie poszedł.

Konnor tymczasem wysiadł na brzeg i wyjąwszy miecz, szedł ku smokowi.

Myślał bowiem, że gdy zabije potwora, to odzyska siostrę.

Smok patrzył spokojnie na idącego przeciw niemu królewicza. Konnor podniósł miecz i chciał ciąć po łbie.

— Królewiczu śmiały — odezwał się nagle ludzkim głosem smok — nie ścinaj mi głowy. Pocałuj mię tylko trzykrotnie, nie obawiaj się, chociaż potwornie wyglądam, nie pożałujesz tego.

Zawahał się śmiały żeglarz. Smok był straszny i obrzydliwy. Konnor pomyślał jednak o ukochanej siostrze, o tem, iż ją ratować ma, i nie wahał się. Rzucił miecz, podszedł do smoka, objął go za głowę i trzykrotnie ucałował serdecznie.

W tej chwili rozległ się straszny huk, skała pękła i pochłonięła smoka, a w objęciach królewicza była śliczna Ellen-serce i ściskając go, dziękowała za ratunek.

Wziął brat siostrę za rękę i poszli oboje do zamku. Weszli do komnaty królowej. Ujrzawszy królowną, czarownica zanie-mówiła. Konnor tknął ją różdżką, zerwaną z czarodziejskiego drzewa, i oto piękna przed chwilą kobieta zaczęła nagle kurczyć się, czernieć, aż zamieniła się w obrzydliwą ropuchę. Konnor z siostrą poszli do ojca, a ropucha tymczasem potoczyła się ze schodów do ogrodu i tam ukryła się w gąszczu.

Ucieszył się król ojciec dzieciom swym. Wszystkie jednak nieszczęścia tak go złamały, że już rządzić państwem nie chciał i synowi oddał koronę.

Wtedy Konnor zwołał lud mnogi i jemu oddał władzę, mówiąc, że ten naród najszcześliwszy, w którym niema króla ani królowej, a wszyscy myślą o pełnieniu obowiązków swych. I on więc i piękna Ellen-serce ludowi chce służyć, a nie władzę nad nim mieć.

I tak się też stało. Nie było odtąd na zamku Bamborough króla i królowej. Rządził lud cały, a mieszkało tam szczęście. Długie wieki minęły, a mieszkańcy Bamborough pokazywali czarną, obrzydliwą ropuchę i mówili, że to zaklęta królowa-czarownica pokutuje za swe złe czyny.

Pewno ciekawi jesteście, jakie to było drzewo, z którego królewicz wyciosał przód swego okrętu i zerwał czarodziejską różdżkę, i gdzie ono rośnie? Odkryję wam więc tę tajemnicę, — drzewo to znajdziecie wszędzie, a zwie się ono — Bratnią miłością.

Nowy Rok Wielkoluda.

(Baśń włoska).

Dawno temu, bardzo, a bardzo dawno, w dalekim kraju, którego nazwy nie pamiętają już najstarsi ludzie, żył możny rycerz. Bogaty on był wielce, miał śliczny zamek i obszerne ziemie. Ożenił się z piękną i bogatą panną. Dzieci nie mieli własnych, ale, że mieli serca litościwe i dobre, więc garnęli do siebie każdą sierotę, opiekowali się wszelką biedą.

Zakładali ochrony i szpitale, dawali sute jałmużny ubogim. Myśleli tak wciąż o drugich, iż w końcu samym chleba zabrakło. I oto możny rycerz i piękna jego małżonka na stare lata biedę cierpieli. Nie mieli już ani sług licznych, ani bogatych cugów. Opuścili ich nawet znajomi. Nikt do wesołego niegdyś zamku nie zaglądał. Cicho tu było i pusto, bo właściciele, by móc biednych wspierać, sprzedali wszystkie srebra i bogate zastawy. Z całego majątku zostało im tylko stare zameczysko.

Żyli tam we dwoje, z jednym starym sługą, co opuścić swych panów nie chciał. Nie martwiło ich jednak ubóstwo dla nich samych, wszak i dawniej nie żyli w zbytku. Żal im było tylko tych wszystkich biedaków, których teraz wspierać nie mieli o czem. A najbardziej to żałowali biednej dziatwy, której ani nowych ochron postawić nie mogli, ani obdarzać zabawkami, jak to było dawniej.

— Wiesz mój mężu — rzekła raz żona — że to już nie długo będzie Nowy Rok, a my nie będziemy mogli przyjąć, jak zazwyczaj, w ten dzień okolicznej dziatwy u siebie.

Siedzieli oboje przy kominku i jedli wieczerzę: chleb z serem i popijali to wszystko wodą, którą im stary sługa podawał.

— A to czemu? — zapytał rycerz.

— Cóż im damy? — westchnęła pani — ani ubrania, ani zabawek nie mamy za co kupić.

Westchnął pan zamku i potarł ręką skronie.

— Tak jednak być nie może — rzekł. — Pomyśl-no sama, coby to za smutek był dla tych biednych dzieci? W okolicy naszej mieszkają sami biedacy; dzieci ich ten jeden dzień w roku mają taki wesoły. Nie, niepodobna ich nie przyjąć. Takiego zmartwienia nie wyrządzimy im przecie?

Teraz z kolei westchnęła żona.

— Nie już przecie nie mamy do sprzedania — rzekła — więc nie tu nie poradzimy.

Stary pan przeszedł się kilka razy po obszernej i pustej komnacie, w końcu uderzył się w czoło i zawołał:

— Otóż już wiem, — dzieci będą miały i poczęstunek i podarunki, i to nie byle jakie. — Sprzedam nasze rodzinne łoże. Drzewo kosztowne, a ozdoby srebrne i złote, to sporo pieniędzy dostanę.

— Jakto? — zawołała pani zamku — sprzedałbyś ostatnią pamiątkę rodzinną? Wszak to łoże przodków twych, na niem umarł twój dziad i twój ojciec. I na czymże będziemy sypiali?

— Hm... właściwie sam nie wiem. Aha! wszak jest jeszcze parę skór niedźwiedzi; można je położyć na ziemi.

— Ależ to niepodobna w twoim wieku sypiać na podłodze — mówiła żona.

— Przyznaj jednak, iż niepodobna tych biedaków zostawić bez podarunku w taki dzień — powtarzał mąż. — Powiedz-że sama?

Nie odpowiedziała już i słowa i cisza zaległa starożytną komnatę.

Gdy tak w zamku troszczono się, skąd wziąć pieniędzy na poczęstunek dla biednej dziatwy, przez dużą puszcę szedł obcy człowiek. Młody on był, a tak wysoki, iż głową przerastał wierzchołki najwyższych drzew.

Gdy wszedł do największej gąszczy leśnej, z wierzchołka starej jodły, co mu zaledwo do ramion sięgała, skoczyło coś małego na rękę olbrzyma.

Wielkolud zatrzymał się i podniósł malutką istotkę do oczu. Była to osóбка tak drobna, iż jednym palcem mógłby ją zgnieść. Miała wesołe, czarne oczka, różową buzię i perłowe ząbki.

— Cóż tu porabiasz w tej puszczy, tak daleko od ojczystego domu? — spytała mała osóбка, stojąc na otwartej dłoni wielkoluda.

— A no idę do zamku mego stryja Wielkoluda — odparł zagadnięty. — Mówiono mi, że umarł. A że był bardzo bogaty, więc już przez całe me życie nie zaznam biedy. Czekałem na to długo w pustym zamku mego ojca.

Maleństwo wzruszyło ramionami.

— To dziwne — rzekła — liczyć na czyjaś śmierć, by mieć o czym żyć, niby to sam pracować nie możesz?

— Otóż właśnie, że nie mam żadnych środków do życia, a pracować nie umiem. A któż ty jesteś? I skąd mię znasz?

— Zowią mię Skierką — odrzekła — żyję wśród puszczy, jestem jej dobrą wróżką. Widziałam cię nieraz w borze, ale nie powiedziałeś mi, dlaczego nie pracujesz sam?

— Krótko mówiąc, nie umiem nic — odrzekł Wielkolud. — Od dziecka czekam na spadek po stryju.

Skierka zaśmiała się.

— Jakto? — pytała — więc byłeś małym? byłeś dzieckiem? Ciekawa bym była widzieć, jak to wówczas wyglądałeś?

— O, zaręczam ci, że byłem bardzo mały, tak, jak ten dębczak — rzekł Wielkolud, wskazując na duży dąb.

Skierka śmiała się.

— Ach, a ja byłam — rzekła — tak duża, jak ziarnko fasoli.

Rozśmieli się oboje. Naraz wielkolud przypomniał sobie, iż od wczoraj nie jadł.

— Trzeba — rzekł — wstąpić gdzie, bo głodny jestem.

— I ja również — rzekła Skierka — radabym co zjadła. Ale gdzie?

— Niedaleko stąd — mówił Wielkolud — za jakie pięćdziesiąt kilometrów stoi wielki dwór, pójdę tam, ty zaś idź do starego zamku. Rycerz Rugger ubogi jest wprawdzie, ale dla ciebie starczy. Gdy się pożywisz, przychodź do starego dębu, tam na skraju lasu, to się spotkamy.

Mówiąc to, postawił Skierkę na ziemi i poszedł dalej w drogę. Wkrótce zawróciła Skierka do zamku.

W parę godzin potem zjawił się Wielkolud w umówionem miejscu. Skierka siedziała na gałęzce dębowej. Wyglądała, jak kwiatek w puchowej osłonce. Zimno bowiem było i mała istotka zawiniętą była po sam nosek w białe futerko, z puchów kwiatnych zrobione.

Wskoczyła na ramię Wielkoluda, usiadła mu na kołnierzu, a ten szedł dalej w swoją drogę.

— Mówiłeś mi — rzekła wróżka — że rycerz Rugger jest ubogi, i on i jego żona, ale nie masz nawet wyobrażenia, jaką oni nędzę cierpią. Weszłam do nich, gdy siedzieli przy śniadaniu. Na kominku nie było ognia, zabrakło im drzewa i węgla. To też w olbrzymiej komnacie straszny był chłód. Jestem tak maluchna, iż nietrudno mi stać się niewidzialną, to też nie widzieli mnie, choć chodziłam po stole.

— Wiesz, co jedli? — Suchy chleb, — pili wodę źródlaną. A przecie był to niegdyś wielki, bogaty pan, ten rycerz Rugger.

— Nie rozumiem, jak on mógł dojść do takiej biedy — rzucił Wielkolud.

— A ja ci powiem — mówiła poważnie Skierka. — Będąc u nich, przypomniałam sobie, że mi kiedyś matka moja opowiadała ich dzieje. Przed laty straszny wróg naszedł kraj nasz. Wtedy rycerz Rugger własnym kosztem wystawił ogromny poczet wojska i póty walczył, aż wroga z kraju wygnał. Ale zostało po nim wspomnienie. Po wojnie nastał mór okrutny na ludzi. Kto nie zginął w bitwach, ten umierał z okropnej choroby, która nie szczędziła ani starych, ani małych. I znowu rycerz Rugger i jego szlachetna małżonka stanęli do pracy, zakładali szpitale, sprowadzali lekarzy, aż zwalezono i drugiego wroga. Przyszedł jednak trzeci — nędza. Szlachetny pan oddał całe swe mienie wtedy, by ratować biedaków, sprowadzał zboże i rozdawał je ubogim. Zamkowe kuchnie zamieniły się w jadłodajnie żebraków. — Widzisz więc, jak to Rugger stracił cały swój majątek. I teraz sam w nędzy. A wiesz ty, co on dziś jeszcze zrobił dla drugich?

— No, chyba że oddał jakiemu żebrakowi ostatni kęs chleba.

— Właśnie, że nie zgadłeś. Od lat wielu, w dzień Nowego Roku, do zamku przychodziły wszystkie biedne dzieci z całej okolicy. Urządzano im tam ucztę i dawano podarki. Otóż wyobraź sobie, że dobry rycerz, nie chcąc dzieciom zrobić zmartwienia i pozbawiać ich podarunków, sprzedał ostatni sprzęt z zamku — stare, rodowe łoże rodziny Ruggerów.

— Jakto? — zawołał Wielkolud — rodowe łoże sprzedał, by sprawić bębnom przyjemność? Tego już pojąć nie umiem. To już nie dobroć, tylko dziwactwo.

Skierka kiwnęła główką.

— Trudno ci, kochanku — rzekła — zrozumieć, tyś całe życie myślał tylko o tem, by żyć z cudzej pracy, a oni za to myśleli, jakby drugim pomóc. Nie zrozumiecie się chyba nigdy.

Zamyślił się Wielkolud i szedł dalej w milezeniu, aż doszli do rozstajnych dróg.

— No, — rzekł, zatrzymując się — teraz już cię pożegnam, jestem niemal, że u wrót zamku mego stryja.

— Pozwól mi pójść z tobą — prosiła — nikt mię nie dojrzy, a taka ciekawa jestem zobaczyć zamek potężnego Wielkoluda.

Poszli więc razem do zamku. U wrót spotkał ich strażnik. Wielkolud opowiedział się, kto jest, mówiąc, iż przybył do stryja wielkoluda Tomoringa.

— Zmarł przed miesiącem, a dobra jego zabrali krewni — odrzekł strażnik.

— To niepodobna. Ja jestem jego bratankiem i nic nie dostałem.

— To już do mnie nie należy — mruknął sługa. — Pan mój, wielkolud Sommering jest tu dziś władcą.

— Prowadź mię do niego. To przywłaszczyciel zuchwały — mówił Wielkolud. — Nie należy on przecie do rodziny.

W ogromnej sali, przed wielkiem ogniskiem siedział przy zastawionym wspaniale stole wielkolud Sommering. Ujrawszy wchodzącego, zadrżał. Domyślił się, że przychodzi bratanek zmarłego.

— Sommeringu! — rzekł przybyły — postąpiłeś niegodnie. Skorzystałeś ze śmierci mego stryja, z mego oddalenia i zagarnąłeś cudzą własność.

— Czego chcesz odemnie? — zawołał, dygocąc tamten. — Nie wiedziałem, że żyjesz.

— Nie kłam! — rzekł wielkolud. — Nie powiększaj swych win. Nie jestem cheiwy. Wiem, że stryj mój zostawił duży majątek, wystarczy dla nas obu, prowadź mię do skarbcza.

— Kiedy, kiedy — jęczał Sommering — naprawdę chory jestem, ani rusz, nie mogę chodzić. Zaprowadzi cię mój rządcą.

Poszedł więc Wielkolud, a na jego ramieniu siedziała wciąż Skierka.

Rządcą, maleńki, krępy człowieczek, poprowadził ich w głąb pałacu, do zbrojowni.

Nie mógł więc odmawiać dłużej rycerz Rugger i wraz z żoną powiódł tam swych gości. Lecz jakież zdumienie ich ogarnęło, gdy się otwarły podwoje starej komnaty.

Rzęsiście oświetlona, wyglądała, jak za dawnych czasów. Dokoła ścian stały starożytne ławy, na ścianach wisiały obrazy, a pośrodku, na olbrzymim stole leżały podarunki dla dziatwy.

— Czyżby to był sen? — szepnął do żony pan zamku.

Ale i ona nie mniej zdumioną była od niego. Wtedy Wielkolud podszedł do nich, wziął ich oboje za ręce i powiódł dokoła stołu. Na każdym pakunku było imię dziecka, które go miało dostać.

— Proszę, zechciejcie dostojni gospodarze obdzielić swych gości — rzekł Wielkolud.

Długo trwało rozdawanie darów, a wszyscy uradowani byli, jak nigdy.

— A teraz — zawołała wróżka, gdy już ostatnie dziecko obdarowanem zostało — tańczmy! hej muzyka!

Zagrzmiały basy i cymbalki, zaśpiewały skrzypce pieśń radosną, a dziatwa tańczyła szczęśliwa.

Rycerz i jego żona wyjść ze zdumienia nie mogli. Gdy się wszyscy natańczyli, Wielkolud rzekł:

— Na ucztę pora iść.

Dziatwa otoczyła rycerza i jego małżonkę i tak wprowadziła ich do drugiej sali, w której stoły uginały się od zastawionych potraw i napoi.

Długo trwała uczta, a potem znowu tańczono. W końcu dzieci, pożegnawszy rycerza i jego żonę, Wielkoluda i wróżkę, poszły uszczęśliwione do domu.

— O jakże szczęśliwy ten Noworoczny dzień — mówił, zacierając ręce, rycerz.

— Zapewniam cię, dostojny panie, że i za rok również miły on będzie — mówił Wielkolud.

— I jakże ci mam dziękować — zawołał rycerz — i czem się wywdzięczyć za tę radość wielką.

— Wynagrodzony już jestem stokrotnie, dostojny panie. Skierka opowiedziała mi historię waszego życia. Słuchając, zrozumiałem, że nie bogactwa dają szczęście, ale użytek, jaki z nich czynimy. Wiem już, jak żyć należy.

— A ja powiem, co możesz szlachetny rycerzu uczynić dla Wielkoluda — zawołała Skierka — i ty, dostojna pani. Przyjmijcie go za syna. Wszak nie macie dzieci. A on sierota. Nauczycie go, jak należy używać bogactw i będziecie wszyscy szczęśliwi.

— Czy pozwolicie, bym was ojcem i matką zwał i czy mi dacie swe błogosławieństwo? — zawołał Wielkolud.

— Z największą radością przyjmujemy cię za syna, dobry Wielkoludzie — zawołał rycerz. — Ród Ruggerów godnego będzie miał w tobie przedstawiciela.

Wielkolud ukląkł, a staruszkowie, chcąc go uściskać, musieli wejść aż na stół.

— Ale i Skierka zostanie chyba waszem przybranem dzieckiem — mówił Wielkolud, ściskając swych rodziców. — Wszak jej naprawdę zawdzięczamy nasze szczęście.

Ale wróżka pokręciła główką.

— Jestem nieczyją — rzekła. — Nikt mię za swoją mieć nie może, bom duch wolny. Żyć i przebywać muszę wszędzie, by niejedną troskę złagodzić, niejedną dobrą myśl komuś w porę poddać. Ale zaglądać będę do was często. Miło jest widzieć szczęśliwych. A w każdy Nowy Rok przyjdę zobaczyć, czy też biedne dzieci dostały podarunki.

— Póki żyć będziemy wszyscy troje — zawołali przybrani rodzice i ich syn — nie zapomnimy o nich.

Jeszcze jedna niespodzianka czekała szlachetnego rycerza i jego małżonkę.

Oto w swej sypialni znaleźli wspaniałe łóże Ruggerów.

Wielkolud nie zapomniał o nikim, wszyscy byli obdarzeni. Skierka jednak twierdziła, że najszczęśliwszym był on sam.

A wy, czytelnicy, co o tem myślicie?

Za sławą.

W zielonej, ślicznej dolinie, przez którą płynęła rzeka z wodą przejrzystą, rozłożyła się mała wioska zwana Szczęśną. Białe domki stały wśród ogrodów pełnych drzew owocowych, wonnych, barwnych kwiatów i soczystych, wielkich trawników.

Każdy, kto do tej wsi przypadkiem zajechał, uważał, że nazwa Szczęśna doskonale jej odpowiadała, bo ludzie tu wyglądali zdrowo, mieli na ustach dobry uśmiech, a spojrzenia ich były jasne i wesołe.

Ale chodzi po świecie wielki, blady smutek i temu zachciało się zajrzeć do ślicznej wioski. Nie przyszedł on sam lecz z krewną swoją Rozpaczą i zajrzeli po kolei do jednego z domków stojących na krańcu wsi; mieszkało w nim młode małżeństwo; żonie na imię było Anna, mężowi Hieronim. Mieli córeczkę Hanię, którą nadzwyczaj kochali.

Pewnego dnia, kiedy Hieronim, jak zwykle, pojechał na pole — miał właśnie kosić żyto — Anna zaś zajęta była przygotowaniem obiadu, a Hania bawiła się w ogrodzie — tego dnia na zawsze pamiętnego, dziecko nagle zniknęło.

Annę zastanowiła cisza, jaka zapanowała w ogrodzie, ucichł turkot drewnianej taczki, którą Hania woziła piasek do progu domu, by lepić z niego babki; umilkł głos dziewczynki rozszczebiotanej nieustannie.

Anna wybiegła z domu.

— Haniu! — zawołała.

Nikt nie odpowiedział.

Lekki wiatr tylko zaszeleśniał wśród krzewów i ptaki po drzewach ćwierkały.

— Haniu! Haniu! — wołała z coraz większym niepokojem, obiegając ogród. Furtka prowadząca na drogę była otwarta, ale droga była pusta.

Daremnie Anna szukała Hani po całej wsi, po łąkach, po polach i w lesie. Daremnie Hieronim objeżdżał okolice, Hania zniknęła, jakby ziemia rozstała się pod nią i pochłonięła ją nagle.

Cała wieś żałowała dziewczynki, ale czemże był żal obcych ludzi w obec rozpaczy rodziców?

Hieronim posiwił przedwcześnie, a błękitne, piękne oczy Anny wyblakły od łez wylanych.

Odtąd smutek zagościł w domu osieroconych rodziców, a że ludzie od smutnych najczęściej stronią, więc rzadko zaglądano do domu Hieronima.

O Hani jednak wszyscy pamiętali, bo nikt pojąć nie umiał, jakim sposobem zniknęła — gdzie się podziała, choć często o tem ludzie rozprawiali.

Cztery lata upłynęły w ciągłej dla rodziców żałobie. Pracowali oboje, ale nieraz stawało im w myśli pytanie: po co zabiegi nasze, komu nasz dom zostawimy, skoro niema Hani?

Ale że byli ludźmi dobrego serca, postanowili zapisać swoje mienie najuboższej rodzinie we wsi. O tem jednak nikomu jeszcze nie mówili, a tymczasem każdą biedę według możliwości swojej wspomagali.

Hieronim miał dwie pary rosłych koni, które przynosiły mu dobry zarobek, bo woził nimi drzewo z lasu do najbliższego miasta.

Jadąc raz z drzewem zauważył na drodze chłopca, który siedział pod krzakiem dzikiej róży i patrzył na drogę smutnemi oczyma. Kiedy w parę godzin później Hieronim wracał do domu, znalazł chłopca na tym samym miejscu. Zatrzymał konie.

— Co tu robisz chłocze? — zapytał — Skąd jesteś? Czy czekasz na kogo?

— Nic nie robię — odparł chłopiec — chociaż szukam roboty. Zdaleka za nią tu przyszedłem. Na nikogo nie czekam, bo sam jestem na wielkim świecie?

— Sierota?

— Matka przed kilkoma tygodniami umarła, a ojca nie pamiętam, bo dawno od nas odszedł w świat — może umarł.

— Siadaj koło mnie na wozie, zabiorę cię do domu — rzekł po chwili namysłu Hieronim.

Chłopiec usłuchał; wstał prędko, ale nogi się chwiały pod nim i bledziutki był jak biały kwiatek.

Od lasu niedaleko było do wsi i prędko też zajęchali.

— Anno, przywiozłem ci gościa — rzekł na powitanie.

Anna spojrzała na chłopca, który uklonił się jej grzecznie.

— Daj nam prędko kolację, głodni jesteśmy, prawda? — dodał, zwracając się do chłopca.

— Prawda — odparł szczerze.

— A jak-że ci na imię?

— Jerzy.

Hieronim zaczął wyprzęgać konie, a Jerzy zręcznie mu w tem dopomagał.

— Daj pokój, zmęczony jesteś, ledwie się na nogach trzymasz.

Ponieważ kolacya nie była jeszcze gotowa, Anna przyniosła mężowi i Jerzemu po kubku mleka.

Jerzy pił mleko z widoczną przyjemnością.

— Nigdy nie równie dobrego nie piłem, dziękuję pani — odezwał się, trzymając w ręku wypróżniony kubek.

Anna przyniosła mu drugą porcyę — Jerzy wypił ją i to nie przeszkodziło mu wcale zjeść kolację z dobrym apetytem, ale cóż w tem było dziwnego — chłopiec przez dzień cały nie jadł, bo nie miał ani jednego grosza przy sobie.

Po kolacyi chłopcu raz wraz sen zamykał powieki, to też Anna zaraz przygotowała mu posłanie, a Jerzy nie zwlekając położył się i zasnął, zaledwie głowę złożył na poduszce.

— Biedna sierota — szepnął Hieronim — nie ma nikogo na świecie.

Anna pokręciła głową.

— Skoro ciebie spotkał — odezwała się — to już nie będzie samotny.

— Przyjęłabyś go na stałe? — zapytał.

— Czemuż nie. Z niego zdaje się dobre i roztropne dziecko.

Hieronim uśmiechnął się.

— I ja tak myślę. Weselej nam z nim będzie — dodał z westchnieniem — bo znowu stanęła mu w oczach mała Hania.

Nazajutrz chłopiec opowiedział nowym opiekunom krótkie dzieje swego życia.

Jego ojciec był złotnikiem i wyrabiał śliczne klejnoty ze złota, srebra i drogich kamieni. Ale jednego dnia wyszedł z domu i więcej nie wrócił — zostawił tylko kartkę, do żony zaadresowaną, a w niej wiadomość, że idzie w świat szukać szczęścia. Wraz z ojcem zniknęły z domu wszystkie klejnoty. Matka z początku czekała na powrót męża, potem ze zmartwienia rozchorowała się i umarła w drugą rocznicę jego ucieczki. Chłopiec pozostał sam, bez krewnych, którzyby mogli się nim zająć, bez pieniędzy, choroba i pogrzeb matki pochłoneły nędzne ich mienie.

— Zaraz po pogrzebie — kończył Jerzy — wziął mnie do siebie jeden ogrodnik. Miałem mu pomagać w robocie przy ogrodzie — ale...

— Ale co... dokończ — pytała Anna.

— Ale ten ogrodnik — ciągnął dalej Jerzy — zawsze źle mówił o moim ojcu — znieść tego nie mogłem — nie miałem też żadnych dowodów na jego obronę, więc pożegnałem ogrodnika i poszedłem w świat szukać pracy. Od matki nigdy złego słowa na ojca nie słyszałem.

— Pewnie, że nie należy sądzić człowieka, o którym nawet nie wiadomo, co się z nim stało — odparł Hieronim — Zostańże teraz z nami, a może jeszcze kiedy spotkasz się z ojcem.

Ale dni, tygodnie, miesiące mijały — mijały lata a nikt o zaginionym złotniku nie dał wieści.

Mały sierota wyrósł na pięknego, dzielnego chłopca i tak pokochał swoich opiekunów, jakby byli jego rodzicami — oni też serdecznie przywiązali się do niego. Jerzy często myślał o zaginionej Hani, o tem, jak dziwnie złożyły się okoliczności, że on sierota trafił do ludzi, opłakujących swoją jedynaczkę, że jak im zginęła córka, tak jemu znów zginął ojciec. Rozmyślał też, co stałoby się z nim, gdyby nie był spotkał Hieronima? Może umarłby z głodu? Wszak w chwili spotkania swego dobroczyńcy czuł się do tego stopnia znużonym, że nie miał siły iść w dalszą drogę tak niepewną, tak ciemną dla niego, choć słońce jasno świeciło i cała przyroda zdawała się przepełniona radością.

Teraz pragnął z całej duszy odwdzińczyć się swoim przybranym rodzicom.

— Jestem już duży — myślał — mogę nietylko zapracować na siebie lecz też dopomóc moim najdroższym opiekunom. Zmartwienie po stracie córki tak ich zgnębiło, że choć nie starzy wiekiem, czują się przedwcześnie znużeni. Chcę, aby mogli odpocząć.

Raz przyszło mu na myśl, że mieszkańcy wsi wiele czasu tracili na drogę do miasta, o kilka mil oddalonego, skąd przywozili to wszystko, co im do życia potrzebne było, a czego im własne gospodarstwo dostarczyć nie mogło. Przytem nieraz oszukiwano ich na towarze. Jerzy pomyślał o założeniu takiego sklepu, w którym każdy mógłby dostać towar w dobrym gatunku, sumiennie odważony i odmierzony. Tyle wiosek jest w okolicy, dlaczegóż ich mieszkańcy mieliby sklep jego omijać?

— Poradzę się ojca — pomyślał — a widząc po cieniu, że już południe nadeszło, zgarnął grabiami siano, które dotąd kosił, i poszedł do domu.

Tutaj zobaczył nieznanego mu człowieka.

Był to starzec ze srebrzystą brodą, odziany w długi płaszcz brązowy. Wielki, słomiany kapelusz ochraniał mu głowę, w rękę trzymał długi kij pielgrzymi.

— Nasz syn przybrany, Jerzy — przedstawił Hieronim swego chłopca pielgrzymowi.

— Jerzy? — powtórzył pielgrzym. — Bardzo lubię to imię.

— Prosimy was do stołu, już obiad podany — odezwała się Anna, stojąc na progu domu.

Gdy już zasiedli do stołu, Hieronim prosił pielgrzymą, aby jutrzejszą niedzielę z nimi spędził.

— Dużo świata zwiedziliście, a my tu mało o nim wiemy — kończył — więc też o wielu ciekawych rzeczach dowiedzieć się od was można.

Pielgrzym potrząsnął głową.

— Nic ja o świecie nie wiem — zaczął, — chory byłem przez czas długi i spieszyć z powrotem muszę tam, dokąd mnie przeznaczenie wzywa.

— Ale, jesteście zmęczeni, znać to po was — nalegała Anna — powinniście odpocząć.

— Po śmierci dość będzie na to czasu.

— Czyż tak źle się czujecie? — spytał Hieronim.

— Zmartwienie mnie zabija.

— Och! — westchnął Hieronim — gdyby ono zabijało, to już ja i moja żona dawno bylibyśmy w grobie.

Tu opowiedział pielgrzymowi o zniknięciu Hani. Jego słowa tak silne wrażenie wywarły na pielgrzymie, że zbladł i zaczął słaniać się, jakby omdlewał.

— Jak dawno zginęło wam to dziecko? — wyszeptał.

— Przed dwunastu laty.

Tu pielgrzym stracił przytomność i byłby padł na ziemię, ale Jerzy podtrzymał go silnem ramieniem. Położył staruszkę na swoim łóżku, spryskał mu twarz zimną wodą, wtedy pielgrzym otworzył oczy.

— Po co opowiadaliśmy mu nasze smutki — żałował Hieronim. — Biedak sam chory i żadnego wzruszenia znieść nie może.

Jednakże po kwadransie gość zdołał wstać o własnych siłach i zaczął wypytywać gospodarzy o Jerzego. Potem długo milczał, a duże łzy z oczu mu spływały.

Jerzy musiał już wracać na łękę. Pielgrzym zapytał, czy mógłby mu towarzyszyć.

— I owszem, ale czy dojdziecie? Choć łęka niedaleko.

— Dojdę, z pewnością dojdę — odparł.

Szli obok siebie w milczeniu.

— Jaki dziwny człowiek — zauważyła Anna po odejściu gościa. — Nikt jeszcze z obcych ludzi nie płakał z nami nad stratą naszej córki, chyba udaje.

Hieronim wzruszył ramionami.

— Może poprostu osłabiony chorobą.

— Ale czuję, że ani na chwilę zasnąć nie będę mogła, jeżeli u nas ten pielgrzym noc spędzi.

— Jeszcześmy dotąd nikogo od drzwi naszych nie odpędzali — zauważył Hieronim.

— Ja go też nie odpędzam, ale ten człowiek nie budzi we mnie zaufania.

Pielgrzym jednak nie wrócił na noc do Hieronima, poszedł w świat, a Jerzy wrócił sam, lecz taki rozradowany, jak gdyby go jakie wielkie szczęście spotkało. Weselość jego była tak widoczna, że Anna zapytała, co go tak ucieszyło.

Jerzy zmieszał się trochę, lecz pokrył zmieszanie wybuchem śmiechu.

— Dzień piękny, matko, łęka skoszona, trawa wyschnie

jutro, a pojutrze stóg ułożymy. Człowiekowi wesoło, kiedy mu robota dobrze idzie.

Anna spała tej nocy, ale za to Jerzy ani oka nie zmrózzył. Ciągłe stał mu w oczach pielgrzym, a w myśli jego słowa: będziesz mógł oddać Hanię jej rodzicom.

Jutro spotka się z pielgrzymem w lesie i tam dowie się o wielkich tajemnicach, o Hani, o sobie...

Zaciekawienie już o świecie wypędziło go z domu. Pobliski las tonął w sinych oparach, prześwietlonych złotem słońca, które już z za widnokregu wyrzało. Pola pachniały wonią kwiatów, las żywicą, bursztynowe jej krople świeciły jak ogniki na czerwono brunatnej korze sosen. Wszędzie rozbrzmiewał poranny hejnał ptasząt; gwizdały kosy i wilgi, świerkały przepiórki, szebiotały jaskółki, dzięcioły stukały w drzewa, jak w bęben.

Ale Jerzy szukał tylko oczami pielgrzyma, nadstawiał ucha, czy nie usłyszy odgłosu jego drewnianych trepek.

Nie długo jednak czekał, siedząc na wielkim kamieniu, przy którym zejść się mieli.

Pielgrzym wydawał się jeszcze bardziej zmęczony, niż dnia poprzedniego, twarz miał bledszą, a we wzroku była dziwna powaga i smutek.

— Posłuchaj mnie, mój synu — zaczął pielgrzym. — Kiedy byłem młody, pragnąłem być sławnym koniecznie, za jaką bądź cenę sławnym. Jedno miałem pragnienie, aby wszędzie o mnie mówiono, pisano o mnie w książkach, rysowano i malowano mój portret, aby wszyscy nisko mi się kłaniali, aby znajomość ze mną zaszczyt ludziom przynosiła,

Ale w jaki sposób zdobyć tę sławę? Tego nie wiedziałem. Czy mam zostać wojakiem? Lecz na wojnie spotkać się można jeszcze łatwiej ze śmiercią, aniżeli ze sławą. Mam być uczonym? Nauka wiele czasu pochłania, wiele pracy wymaga, — a jeśli nie uczynię żadnego wielkiego w nauce odkrycia, żaden wynalazek nie przyjdzie mi na myśl i zestarzeję się w daremnem

oczekiwaniu? — Nie, ja pragnąłem sławy natychmiastowej... Nie wiedząc, jak sobie poradzić, udałem się do czarodzieja, który mieszka nad morzem i bardzo drogo swoje czary sprzedaje. Kiedy mu powiedziałem, o co mi idzie, uśmiechnął się, spojrzał na mnie zimnymi, zielonemi oczyma i zapytał:

— Czemże mi za tę sławę zapłacisz?

Milczałem. Byłem ubogi i rozpacz mnie ogarnęła, że odejdę z niczem.

— Jakiej zapłaty żądasz panie? — wyszeptałem.

— Hm! cóż ty mi dać możesz? — rzekł z lekceważeniem. — Co ci zresztą po tej sławie? Czy sądzisz, że wszyscy sławni ludzie są szczęśliwi?

— Ale ja, panie, szczęścia bez sławy nie pojmuję! lepiej umrzeć!

Czarodziej pokręcił głową.

— Kiedy jesteś taki uparty, to już muszę cię zadowolić... Upadłem na kolana.

Czarodziej chytrze zachichotał.

— Więc dobrze, będziesz sławnym, ale kiedy ożenisz się, pierwsze twoje dziecko mnie oddasz i nigdy go już nie zobaczysz.

Wstałem zdumiony. Zapłata wydawała mi się tak małą! Pomyślałem sobie, że nigdy się nie ożenię i dzieci mieć nie będę.

— Dobrze — zawołałem głośno. — Dziękuję ci panie, i całe życie wdzięczny ci będę.

— Podpiszesz więc nasz układ — rzekł czarodziej, pisząc jego warunki na pergaminie.

Podpisałem bez namysłu.

— A gdybyś mnie chciał oszukać — zagroził czarodziej — umrzesz w przeciągu miesiąca, ty i twoja rodzina.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się tylko, pewny swej sławy.

Istotnie czarodziej dotrzymał słowa. Kiedy po bytności u niego powróciłem do warstatu złotnika, u którego pracowa-

łem, robota nietylko szła mi zręcznie, ale zadziwiałem wszystkich moimi pomysłami w układaniu drogich kamieni, w ich oprawie i cyzelowaniu złota. Po kilku tygodniach już mówiono o mnie w mieście. Jednego dnia przyszła do sklepu młoda dziewczyna w żałobie, chciała sprzedać pierścionek po matce — widocznie bieda ją do tego zmusiła. — Była tak piękną, że oczu od niej oderwać nie mogłem. Wydała mi się też bardzo miłą i dobrą. Tak mi się podobała, że po kilku tygodniach postanowiłem zapoznać się z nią, a potem spytałem, czy chciałaby zostać moją żoną. Cecylia — było jej na imię — przystała, wkrótce odbył się nasz ślub. Nazajutrz po naszym ślubie znalazłem na stole, przy którym obrabiałem klejnoty, list, czerwonym atramentem napisany. To czarodziej winszował mi, że ożeniłem się z najpiękniejszą dziewczyną w mieście, przytem przysyłał mi złoty kluczyk i bardzo dokładny plan drogi do jego wodnego pałacu. Rzadko bowiem przebywał nad brzegiem morza, mieszkał głównie w kryształowym pałacu, zanurzonym w morzu, a do pałacu wiodła galeria szklanna, półokrągła, oparta na grzbietach posłusznych mu delfinów. Myśląc ciągle o Cecylii, prawie zapomniałem o czarodzieju. Jego list zaniepokoił mnie głównie tajemniczością sposobu, w jaki do rąk moich doszedł. Nikt nie wiedział, kto pismo to przyniósł?

Tu pielgrzym umilkł na chwilę, a Jerzy, który ciągle oczekiwał wiadomości o Hani, zawołał żywo:

— A Hania? Co się z nią dzieje?

— Dowiesz się, dowiesz z kolei i o niej.

Kiedy po roku Bóg zesłał nam syna, w pierwszych dniach miałem zamiar porwać go pokryjomu i zanieść czarodziejowi. Mieszkaliśmy już w większym mieście i miałem własny zakład zakład jubilerski, do którego nawet królowie po klejnoty przysyłali. Zwlekałem jednak z tą podróżą, wiedząc, jak strasznie cierpieć będzie Cecylia po stracie syna. I tu stała się dla mnie rzecz niespodziewana... moje przywiązanie do dziecka rosło

z dniem każdym, coraz cięższą wydawała mi się ofiara rozstania się z nim na zawsze. Pewnej nocy przyszło mi na myśl, że czarodziej może przyjmie suty okup w złocie, w klejnotach, zamiast mojego dziecka. Zebrałem też wszystkie kosztowności moje w dużą torbę i kierując się planem, danym mi przez czarodzieja, dotarłem do niego.

— Z czym przychodzisz? — zapytał mnie.

— Panie, przynoszę ci okup za moje dziecko, bo rozstać się z nim nie mogę. Odbierz mi sławę, a zostaw mi nasze dziecko.

Otworzyłem przyniesioną torbę i rozsypałem sznury brylantów, pereł, naszyjniki i bransolety z rubinów, z szafirów i szmaragdów, klamry i pasy z cudnie cyzelowanego złota.

Czarodziej obejrzał moje skarby uważnie, z zajęciem i pochwalał robotę.

Przez chwilę sądziłem, że okupię nimi mego syna, ale kiedy czarodziej dojrzał błyski nadziei w moich oczach, odrzucił daleko od siebie trzymaną w ręku klamrę i rozśmiał się szyderczo.

— Zabierz sobie te piękne śmiecie, cóż mi po nich. Bogaćtw mam tyle, ile zechcę, nie żądałem ich od ciebie. Obiecałeś mi przynieść swoje dziecko — gdzież ono? Spiesz się, bo jeśli w ciągu tygodnia nie wrócisz z niem razem, umrzesz ty i twoja rodzina.

Czułem, że daremnie błagałbym go o litość. Nie znał on nawet tego uczucia.

Pozostawiłem wszystkie moje klejnoty i uciekłem z pałacu.

O jakże w tej chwili przeklinałem moje pragnienie sławy. Cóż mi ona dała? Oto śmierć groziła memu dziecku, śmierć lub więzienie w pałacu czarodzieja. Nie śmiałem wrócić do domu; przez dwa dni błąkałem się po lasach i górach, nad brzegiem morza, aż nagle zajaśniała mi w głowie myśl zbawcza zanieść czarodziejowi jakiegokolwiek inne dziecko, zamiast swojego.

Zbiegłem w stronę dolin i przypadkowo trafiłem na wieś Szczęśną...

— Ach! — krzyknął Jerzy, porywając się z miejsca — ukradliście Hanne! Przekleństwo...

Pielgrzym pochwycił go za rękę.

— Jerzy, Jerzy nie przeklinaj mnie! Jestem twoim ojcem. Z miłości dla ciebie to uczyniłem.

Jerzy osłupiał.

— Tak jest, mój synu... przebacz mi.

Wyjął z kieszeni, ukrytej w podszewce płaszcza, małe, drewniane pudełko, w niem był mały portrecik kobiecy, w złoto oprawny, starzec podał go Jerzemu.

— Oto portret twojej matki — jesteś do niej uderzająco podobny.

Jerzy długo wpatrywał się w obrazek. Tak, to była jego matka, ale wesół, świeży, nie zaś zbolący, z zawiedłą twarzą, jaką znał w ostatnich latach jej życia.

— Czemu ojciec nie powróciłeś do nas? — zapytał z głębokim wyrzutem w głosie. — Matka ze zmartwienia umarła...

— Nie mogłem wrócić. Kiedy porwałem Hanne, przerażone dziecko nie zapłakało nawet. Szybko zarzuciłem jej chustkę na głowę i popędziłem przez te zarośla w stronę brzegu morskiego. Lęk i zła radość — to były dwa skrzydła, które mię unosiły. Lękałem się, aby nie odebrano mi Hani, cieszyłem się, że jej kosztem uwolnię się od czarodzieja.

Wieczorem byłem już w kryształowym pałacu i płaczącą dziewczynkę oddałem córce czarodzieja, która ją zaraz uspokoiła.

— Więc zdecydowałeś się na rozstanie z dzieckiem — to bardzo rozsądny postępek — chwalił mnie okrutnik.

Zakryłem twarz rękami, aby nie dojrzał radości w moich oczach i udawałem wielką rozpacz. Ale wkrótce stała się ona szczerą, bo czarodziej oświadczył, że skoro tak kocham moje dziecko, mogę z niem pozostać. Dreszcz mię przejął.

— A moja żona? — spytałem.

— Jakto? Przecież sam przed chwilą powiedziałeś mi, że cię przekleła za to, iż odebrałaś jej dziecko.

Istotnie tak mu powiedziałem.

— Po cóż więc masz do niej wracać, kiedy ona ciebie nienawidzi?

Spuściłem głowę.

— Idź do swego dziecka, pozwalam ci z niem zostać. Ale ostrzegam cię, że jeśli zapragniesz stąd uciec, morze cię pochłonie, i pożrą cię rekiny.

— Zresztą już zapadliśmy w głąb morza — dodał po chwili ze złym uśmiechem.

Istotnie cały pałac kołysał się lekko, aż wreszcie osiadł na dnie. Wiesz już teraz, dlaczego nie mogłem wrócić. Tęsknota za wami szarpała mi serce. Ponieważ jednak mój smutek dziwił czarodzieja i mógł wzbudzić jakieś podejrzenie w jego myślach, starałem się zapanować nad sobą. Powierzał mi on też różne prace, oprawę swoich pereł, obrabianie koralu, rzeźbienie muszli olbrzymich. Co sześć lat zamek kryształowy wznosi się nad powierzchnię morza i czarodziej na ląd zstępuje. Teraz właśnie mija lat dwanaście od chwili mego uwięzienia; czarodziej w dowód zaufania pozwolił mi odwiedzić strony rodzinne. Dlatego jestem teraz z tobą. Los łaskawy, dobry, szczęśliwy los pozwolił mi trafić do wsi Szczęśnej w powrocie z miasta, do którego najpierw udałem się, aby o was zasięgnąć wiadomości. Nikt nie umiał mi powiedzieć, co się z tobą stało... nikt mnie też nie poznał, a kiedy pytałem, co stało się z tym sławnym złotnikiem, który tu mieszkał, mało kto o nim pamiętał, wreszcie powiedziano mi, że to był pewno jakiś oszust, złodziej, bo jednej nocy zniknął wraz z wszystkimi klejnotami, zostawiając żonę i dziecko w nędzy.

Tu pielgrzym zapłakał gorzko.

Jerzy pochwycił jego rękę i ucałował ją.

— Biedny ojcie, i ty wiele przecierpiałeś.

— Więc przebaczyłeś mi Jerzy? — zapytał cicho.

Jerzy w odpowiedzi zarzucił mu ręce na szyję, uściskali się serdecznie.

— A teraz posłuchaj mnie Jerzy uważnie. Będziesz mógł odwdzińczyć się przybranym rodzicom, oddając im Hanię.

— Mów, mów ojcie, co mam zrobić? — wołał Jerzy.

— Zostawię ci plan dokładny drogi, wiodącej do pałacu czarodzieja. Codziennie od dwunastej w południe śpi on przez dwie godziny, to też staraj się być u wejścia punktualnie w południe, ani wcześniej, ani później. Przejdiesz przez galerię szklaną, opartą na grzbietach delfinów, przez długą salę kryształową, dojdiesz do koralowego pokoju, w którym czekać na ciebie będę wraz z Hanią. Wyprowadzisz ją natychmiast i zawieziesz do domu.

Pamiętaj tylko włożyć na nogi filcowe pantofle i przynieść z sobą parę takich pantofli dla mnie, a drugą dla Hani. Łada stąpanie głośniejsze mogłoby obudzić czarodzieja, a wtedy biada nam! Nic też mówić do siebie nie będziemy, wszystko odbyć się musi w zupełnej ciszy, nawet szepnąć nie wolno. Pamiętaj o tem. Od naszego milczenia zależy wybawienie Hani.

— Przysięgam ci ojcie, że jak duch iść będę, niemy i cichy.

Pielgrzym umilkł i długo wpatrywał się w syna.

— Już odejść muszę — wyrzekł — czas na mnie, Dzisiaj wieczorem muszę powrócić do kryształowego pałacu.

— Ale jutro, jutro już będziemy razem, — nieprawdaż ojcie?

Pielgrzym nie odpowiedział, raz jeszcze uścisnął syna i pożegnał go słowy:

— Lżej mi teraz, kiedy wiem, żeś mi przebaczył.

Rozeszli się, ale starzec raz jeszcze przywołał Jerzego.

— Nie powtarzaj dzisiaj naszej rozmowy swoim opiekunom, nie trzeba łudzić ich nadzieją, bo gdyby jutro nie udało ci się...

— To udać się musi! — przerwał Jerzy gwałtownie. — Ale masz słuszość, ojcze, że lepiej nie im jeszcze o powrocie Hani nie mówić.

Jerzy dotrzymał słowa. Jednakże cały dzień mówił o Hani, rzucał przypuszczenie, że odnalezienie jej jest możliwe.

Ale rodzice potrząsali przecząco głową.

— Tyle lat upłynęło, pomimo poszukiwań nikt na ślad jej nie natrafił!

Nazajutrz Jerzy przed wschodem słońca cichutko wysunął się z domu. Szybkim krokiem puścił się w stronę najbliższego miasteczka, kupił dwie pary filcowych pantofli i nie czując nawet zmęczenia, biegł w stronę morza.

Plan drogi znał na pamięć. Oto dwa wielkie cyprysy, a o sto kroków dalej skała nad brzegiem morza. Ta skała odchyli się na zakłęcie Jerzego, a za nią ukryte jest wejście do galeryi szklanej.

Ale jeszcze nie pora, jeszcze południe nie nadeszło.

Jerzy usiadł w cieniu cyprysu i czekał. Niecierpliwość ogarniała go i niepokój. Zimny pot go oblewał na myśl, że mógłby wrócić bez Hani.

Co też myślał o nim jego opiekunowie? Wyszedł z domu bez pożegnania, może myślał, że i on z kolei zniknął z ich domu, że znowu sami, zupełnie sami na starość zostaną? Ach nie! dziś jeszcze zaświeci im promień najradośniejszy!

Za kilka minut nadejdzie południe... Nareszcie!... Jerzy zdjął buty, wsunął na nogi pantofle i podszedł do skały. Byłby zaraz dotknął złotym kluczem miejsce, wskazane przez pielgrzyma, ale tu zarówno zbyt ni pospiech, jak i opóźnienie całą sprawę zepsuć mogły. Uzbroidł się w cierpliwość.

W oddali zaśpiewały kościelne dzwony.

„Już czas! już czas!“ — zdawały się wołać. — Kiedy umilkły, dotknął kluczem skały, która odchyliła się natychmiast, za nią ciągnął się kurytarz szklany.

Chociaż Jerzy szedł prędkim krokiem, wydał mu się on niezmiernej długości. Kiedy doszedł do kryształowej sali, zdawało mu się, że już cała godzina minęła. Dotarł do koralowego pokoju, tu dojrzał ojca, a przy nim śliczną, jasnowłosą dziewczynę. Stali w milczeniu z palcem na ustach. Nie powitali się nawet skinieniem głowy, ale Jerzemu serce biło gwałtownie, zdawało mu się, że wszyscy słyszeć to muszą.

Dokoła była zupełna cisza, bo kiedy spał czarodziej, w około musiał panować zupełny spokój.

Wtem rozległo się coraz głośniejsze chrapanie. Wtedy pielgrzym ruszył ku sali, a za nim młodzi. Postępując tak jeden za drugim, doszli do skały, zamykającej wejście.

Odsunął ją pielgrzym, ręką wskazując Jerzemu i Haniu, aby na lądzie stanęli.

— A ty, ojczy? — szepnęła Hania.

— Idźcie! — odparł rozkazująco — ja śmierć mógłbym wam tylko przynieść. Zawiniłem i poniosę karę. Jerzy, Haniu, pamiętajcie moje ostatnie słowa:

Nie pragnijcie sławy, ale starajcie się ze wszystkich sił waszych być użytecznymi dla ludzi, dla kraju. W tem niech będzie cel i piękno waszego życia. Idźcie, już czas.

Z mocą odsunął Hanię i skała ciężko zapadła, oddzielając go od nich na zawsze.

Stali przez chwilę w milczeniu.

— Idźcie, bądźcie mi posłuszni — doszedł do nich głos z za skały.

Odeszli. Oboje mieli łzy w oczach, ale myśl o Annie i Hieronimie łagodziła ich smutek.

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, kiedy rozległ się za nimi ryk morza.

— Czarodziej obudził się — zawołała Hania — uciekajmy!

— Nie ma on już nad tobą władzy, Haniu. Ale pomimo to spieszmy, bo patrz, jakie chmury gromadzą się na niebie.

Daleką drogę mamy przed sobą, — za trzy godziny zaledwie będziemy w domu.

— W domu! — powtórzyła Hania. — Ja jeszcze trochę nasz dom pamiętam. A róże czy zawsze rosną pod oknami?

— Och! już deszcz pada.

Istotnie zerwała się burza potężna, wichur gwałtownie drzewa ku ziemi, pioruny biły w około.

— Boję się! — szeptała Hania.

Jerzy ujął ją pod ramię, owinał swoim szerokim płaszczem.

— Nie bój się, Haniu, jestem przy tobie i od wszelkiego złego cię obronię. Przecież wyprowadziłem cię z pałacu czarodzieja.

Przez całą drogę towarzyszyła im burza.

Kiedy już dochodzili do domu, Jerzy zatrzymał się.

— Haniu, twoi rodzice jeszcze nie wiedzą o twoim powrocie, czy nie należałoby ich przygotować? Zbyt silna radość też zaszkodzić może.

— Więc zostawisz mnie na drodze? — zapytała trwożnie.

— Ach nie! Wprowadzę cię i powiem, że spotkałem zabłąkaną po drodze, że chcesz się uchronić przed burzą.

— Och! jak trudno będzie mi kłamać — rzekła Hania — kiedy z taką radością uściskałabym ich oboje.

— Będzie to nasze ostatnie kłamstwo w życiu — odparł Jerzy; — na razie jednak jest ono dla dobra samych twoich rodziców konieczne.

Hieronim i Anna bardzo gościnnie, rozumie się, przyjęli Hanię i zaraz zaczęli dopytywać się Jerzego, gdzie był przez dzień cały.

— Proszę was serdecznie, nie pytajcie mnie dzisiaj o to — odpowiedział — nigdy prawdy przed wami nie tałem, a dzisiaj nie jeszcze powiedzieć nie mogę. Zareczam wam tylko, że wielka, nieoczekiwana radość wkrótce was spotka. Może będę miał wiadomość o Hani.

— O Hani! — zawołali jednocześnie rodzice. — To być nie może.

— Dlaczego? — zapytała Hania. — Póki ludzie żyją, zawsze z sobą spotkać się mogą.

— Czy pani wie co o naszej córce?

— Och! nie nazywajcie mnie panią — odparła żywo. — Ja jestem... przyjaciółką Hani.

Tu Anna pochwyciła dziewczynę za ramię.

— Gdzie ona? Gdzie Hania?

— Przed wami stoi! — zawołał Jerzy.

Żadne pióro nie zdoła wyrazić radości, jaka teraz zapawała w domu Hieronima.

A kto ciekawy, niech znajdzie wieś Szczęśną, zobaczy tam czworo ludzi, zawsze wesołych, kochających się wzajem; jedna tam tylko kropla goryczy sączy się czasem, — to myśl o pielgrzymie i o Czarodzieju.

A Hania i Jerzy wiernie słuchają rady pielgrzymy — nie o sławę w życiu im chodzi, lecz o to, czy z pożytkiem żyją dla innych.

Uraszymataro — dobry syn.

(Baśń japońska).

Powiem wam o tem, co się stało w pewnej małej, japońskiej wiosce, na wiosnę, gdy biały kwiat okrywał drzewa wiśniowe. Żył w tej wiosce chłopak, zwany Uraszymataro — Syn Wyspy. Miał czarne, ukośno oprawione oczy i długi, długi, cienki warkocz. Chłopak ten był synem bardzo dobrych i ubogich staruszków. Ojciec był rybakiem, a Uraszymataro pomagał mu od najmłodszych lat swoich. Gdy dnia jednego wyciągnął sieć z morza, ujrzał w niej sporo ryb, a między niemi malutkiego żółwia. Zwierzątko wysunęło z pod okrągłej skorupy owalną głowę, wyprostowało szerokie łapki, poruszyło krótkim ogonkiem i przemówiło ludzkim głosem:

— Uraszymataro! Tyś mały i jam mały, obaj żyć chcemy, ulituj się młodości mojej, daruj mi życie.

Zdziwił się bardzo Uraszymataro, ale ponieważ był dobrym chłopcem, więc wrzucił żółwia do morza. Od owej wiosny sporo minęło lat. Rósł Syn Wyspy, aż wreszcie urósł na najdzielniejszego chłopca w Japonii. Nie bał się wichrów świszczących, ni fal spienionych — łódź swą kierował wśród burz na pełne morze i tam bywał, gdzie żaden żeglarz płynąć nie śmiał. Mawiali nieraz sąsiedzi rodzicom jego:

— Przyjdzie dzień, w którym syna waszego zatopi fala i nie wróci radość starych dni waszych.

A dobrzy staruszkowie uśmiechali się jeno, ufali bowiem sile i dzielności syna swego.

I oto co się stało dnia jednego, który wstał różowy i uśmiechnięty ponad szczęśliwą japońską krainą. Uraszymatáro wypłynął o świcie na połów. Z dala, przytulona do stromego wzgórza, jaśniała rodzinna jego wioska i ogrody jej, całe w śnieżnym kwiecie wiśni. Z poza mgły kwiecica czerniał mały domek rodziców Uraszymatary, o pogiętym daszku i rzeźbionych ścianach.

Zapatrzył się weń Syn Wyspy tak, że nie widział ciemnych chmur, które przysłoniły jasne niebo, nie słyszał pomruku wichru, co w zawody pędził z chmurami, aż nadbiegła olbrzymia zła fala i zatopila łódź Uraszymatary. Dzielny chłopak poszedł w zawody z falą, ale morze i wieher silniejsze były od Syna Wyspy. — I zgadnijcie, kto go uratował? Olbrzymi żółw. Wysunął z pod okrągłej tarczy swą owalną głowę, rozpostarł swe szerokie łapy, niewielki ogon i rzekł ludzkim głosem:

— Synu Wyspy, jestem owym małym żółwiem, któremuś ty ocalił życie, dziś ja uratuję twoje. Siadaj na mój grzbiet, a ukazę ci cuda, jakich nawet we śnie nikt z ludzi nie widział.

Raźno wskoczył Uraszymatáro na grzbiet olbrzymiego żółwia i poszybowali strasznie daleko. Płynęli trzy dni i trzy noce, aż dnia czwartego ukazały się rybakowi dziwy niewypowiedziane. Ujrzał on pałac z konchy perłowej, z koralu, rubinów i opali, dach był z łusek srebrzystych, pozłocistych i purpurowych, a okna z szafiru i brylantów. Kwiaty w koło rosły dziwne i prześliczne, o liściach z szmaragdu, i drzewa o opalowych i diamentowych owocach. Srogie smoki purpurowe stróżowały u wrót mieniących się tęczą o wrzeciążach z pereł. Zdziwił się okrutnie Uraszymatáro, a żółw rzekł:

— Oto jest pałac boga morskiego Riugu.

A wtem ukazał się nowy cud, prześliczna księżniczka Otahima. Tęcze, gdy weszła, zbladły, a drogie kamienie przygasły, tak piękną była owa dziewczyna. Rybak padł przed nią na kolana i, jak japoński każe zwyczaj, ręce oparł na ziemi, a czołem

dotknął perłowej podłogi pałacu. Dygnęła niziutko księżniczka, cała strojna w jedwabie, haftowane w złote smoki i różne kwiaty. Dygnęła niziutko, twarzą białą jak kwiat lotosu, zasłoniła wachlarzem, że widać było tylko jej ukośne, czarne oczy i krucze włosy, wysoko upięte. I rzekł żółw (który, jak się okazało, był wysokim dygnitarzem na dworze bożka Riugu):

— Synu Wyspy, chcesz-że wziąć za żonę tę oto księżniczkę Głębin Morskiej: Otahimę?

I stało się, że Uraszymataro został mężem precudnej księżniczki i możnym władcą Głębin Morskiej. I żył w pałacu z konchy perłowej, z barw tęczy i z drogich kamieni, jadał na turkusowych talerzach, pijał z czar, rżniętych w opalu i nosił suknie jedwabne, haftowane w złote smoki i barwne kwiaty. I nie liczył dni, ni lat, i byłby całkiem szczęśliwy, gdyby nie tęsknota za rodzicami. Przychodziło doń codziennie wspomnienie spracowanych, drogich twarzy i domu, otoczonego wiśniowemi drzewami, a w ślad za wspomnieniem szły tęsknota i smutek. Ujrzała ten smutek prześliczna księżniczka i łzy, cudniejsze od pereł, popłynęły jej z oczu. Odgadła bowiem powód smutku męża, a widząc, że nie mu wesela nie wróci, dała mu złotą puszkę i tak rzekła:

— Jedź, Uraszymataro, do rodzinnej wioski swojej, a gdy zechcesz do mnie wrócić, to puszka ta przywiedzie cię z powrotem. — Zawołała żółwia, przyniosła co najdroższe szaty i najpiękniejsze klejnoty dla rodziców swego męża i długo, długo stała w progu swego przedziwnego pałacu, patrząc, jak żółw unosił Syna Wyspy.

A tymczasem Uraszymataro jechał przez trzy dni i trzy nocy, aż dnia czwartego ujrzał swą rodzinną wioskę, przytuloną do stromego brzegu, ale wśród mgły białego, wiśniowego kwiecia nie znalazł czarnego daszku swego domostwa. I nie poznał rodzinnej swojej wioski, tak się wszystko zmieniło. Poszedł do gniazda swego, ale nie znalazł go, inny stał tam dom i inni

w nim mieszkali ludzie. Nikt go tu nie znał, ni on nikogo. Poszedł tedy w górę, gdzie w cieniu świątyni i starych drzew tulił się cmentarz, i tam wreszcie znalazł kamienie, mchem porośłe, kryjące popioły rodziców. I dowiedział się od przechodnia, że trzysta lat minęło od dnia jego zniknięcia i śmierci jego rodziców, albowiem podanie mówiło, że staruszkowie, ujrawszy rozbitą łódź syna swego, umarli z rozpacz. Łzy smutne popłynęły z oczu księcia, i niebacznie wypuścił z rąk złotą puszkę Otahimy. Puszka pękła, a Uraszymatario w tejże chwili uczuł, że siły jego słabną. W przejrzystej tafli jeziorka zobaczył, jak jego młodzieńczą twarz zaczęły pokrywać zmarszczki, a włosy nagle posiwiały, wówczas uczuł, że nadchodzi godzina śmierci.

Nikt na ziemi nie płakał po śmierci Uraszymatary. Tylko płatki wiśniowego kwiatu usypały mogiłę wiernemu synowi, który nawet w zaklętym świecie czarów nie znalazł szczęścia i nie mógł żyć bez biednych rodziców i ubogiej wioski rodzinnej.

A żółw czekał i czekał na wybrzeżu, aż zginął, i tylko cudna księżniczka Otahima do dziś płacze za Synem Wyspy Łzami, od pereł cudniejszemi.

SPIS RZECZY TOMU II.

	Str.
1. W niewoli u czarownicy	1
2. Baśń o Wilkołaku (szwedzka)	45
3. O dobrym bracie i zakętym smoku (angielska)	59
4. Nowy Rok Wielkoluda (włoska)	66
5. Za sławą (włoska) A. Morzkowska	76
6. Uraszymatáro — Dobry syn (japońska) Jadwiga Lewicka	91

